MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 24 WARSZAWA, 15 LISTOPADA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

WIELKA POLSKA

GDYBY chcieć przedstawić najzwięźlej ideały wchodzącego dziś w życie publiczne pokolenia, to wyraziłyby się one w dwuch słowach: „Wielka Polska“*). Idąc za Romanem Dmowskim, lecz jednocześnie idąc za płynącym z głębi świadomości głosem wewnętrznym, obraliśmy jako nasz symbol znak Szczerbca, nawiązując świadomie do najwspanialszej tradycji naszych dziejów, tradycji Chrobrego, który z Kijowa słał listy do cesarza niemieckiego i do Bizancjum, zawiadamiając, że pomiędzy cesarstwem Zachodniem i Wschodniem powstaje trzecia potęga, Polska, która potrafi być przyjacielem wiernym, ale i „wrogiem potężnym i niezwyciężonym“. Nawiązując do tradycyj przeszłości, zamiast roztkliwiania się nad cierpieniami, przeżytemi w ciągu ostatniego stulecia, zamiast oburzania się na nasze krzywdy i na zbrodnie, jakie wobec nas popełniano, pokolenie nasze myślą zwraca się do tych przedewszystkiem wspomnień, które zawsze, w złych i dobrych latach, były świadectwem wielkości narodu polskiego i nakazują nam być dumnymi z tego, że jesteśmy Polakami.

To poczucie dumy, świadomość, że należymy do wielkiego narodu, jest, niestety, w dzisiejszej Polsce zjawiskiem bardzo rzadkiem i hasłem dla ogółu nowem. I to właśnie dumne poczucie przynależności do wielkiego narodu jest wartością, którą nasze pokolenie do życia Polski współczesnej dziś wnosi.

Jakże mało jest tej świadomości w naszych czasach, jakże mało jest u nas ludzi, posiadających naprawdę „dawnych Polaków dumę i szlachetność“! We własnej ojczyźnie ciągle jeszcze czujemy się jacyś niepewni, zalęknieni, nieśmiali, pozbawieni poczucia, że jesteśmy gospodarzami we własnym kraju. Weźmy, jako znamienny przykład, życie państwowe. Ileż u nas wprowadzono ustaw, ileż posunięć politycznych dokonanych zostało z tą myślą, aby wywrzeć „dobre wrażenie“ zagranicą, jakby to właśnie było dla nas celem najważniejszym, żeby taką czy inną naszą ustawą żydek z Polski mógł pochwalić się przed żydkami... z innych państw na naradach organizacyj międzynarodowych czy w Lidze Narodów!

Kiedy przyszło do nadania Polsce Konstytucji, układano ją z tą myślą przewodnią, aby nie być „w tyle za Europą“, aby urzeczywistnić „najnowsze“ zagraniczne pomysły i doktryny, ale najmniej zastanawiano się nad rzeczą najważniejszą, żeby Polsce dać ustrój zgodny z polską tradycją, z potrzebami i warunkami Polski współczesnej, słowem ustrój, jaki dla nas, dla narodu polskiego byłby najlepszy. Tak dalece nie posiadaliśmy wiary w siebie, że nie usiłowaliśmy nawet zdobyć się na jakąkolwiek własną twórczość w tej dziedzinie, szukając tylko, co i z jakiego kraju kopjować, to też naśladowaliśmy wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, aż do nazwania, bo tak się to nazywa we Francji, połączenia Izby poselskiej i Senatu — Zgromadzeniem Narodowem...

Wielu u nas nazywa siebie dumnie „niepodległościowcami“, ale duma „niepodległościowców“ nie przeszkadza tym ludziom biegać po zebrankach masońskich, gdzie delegat lóż zagranicznych albo „brat“ wyznania mojżeszowego poucza ich, jakie Polska ma ukochać ideały, jakie hasła winny ją zapalać i podniecać, jaką ma prowadzić politykę wewnętrzną i zagraniczną. Ludzie poważni, reprezentujący urząd państwowy i polską naukę, uważają za rzecz właściwą, aby Amerykanie zakładali u nas stowarzyszenia, mające uczyć chrześcijaństwa nas, Polaków, którzyśmy posiadali już Świętych i umieliśmy wybudować kościół Marjacki i ozdobić go stwoszowskim ołtarzem, kiedy tam, skąd do nas misje sekciarskie dziś przyjeżdżają, małpy tylko skakały po gałęziach puszcz dziewiczych.

W życiu ideowem, literackiem, artystycznem, nawet w życiu domowem i obyczaju, wciąż widzimy

*) Artykuł niniejszy jest obszernem streszczeniem przemówienia, wygłoszonego na Zjeździe Młodych dn. 30 z. m. w Warszawie.

charakterystyczny pęd naśladowczy, jakby żądzę pochwalenia się przed kimś, że jesteśmy punktualni, że cokolwiek pojawi się w świecie, to natychmiast bez chwili namysłu wprowadzamy w życie. A że w rzeczywistości znajomość świata jest u nas zjawiskiem nadzwyczaj rzadkiem, więc z konieczności pośrednikiem przy dostarczaniu „nowych prądów" stają się Żydzi, co na gatunek wzorów wybranych do naśladownictwa wpływa najfatalniej.

Nie czas tutaj, oczywiście, i nie miejsce, aby poszczególne poruszone zagadnienia rozpatrywać dokładniej, o jednej kwestji wszakże pragnę powiedzieć słów parę, ponieważ w tej właśnie sprawie brak dumy narodowej, a nawet zwyczajnej narodowej godności, przejawił się w sposób szczególnie niebezpieczny i szkodliwy. Mówię o naszym stosunku do t. zw. kresów. Wielu Polaków ciągle jeszcze spogląda na kresy, jak na ziemię nam obcą, której nie posiadamy na zawsze, ale jakby w charakterze depozytarjuszy, przechowujących ją dla jakiejś przyszłej Ukrainy czy Białejrusi. Otóż stwierdzić trzeba jasno i stanowczo, że zagadnienia polityki kresowej nie rozwiążemy pomyślnie, jeżeli zagadnienia tego nie rozwiążemy naprzód w duszach naszych, jeżeli wszyscy nie zrozumieją wreszcie równie wyraźnie, jak pokolenie, które o granice Polski walczyło, że owe kresy, ów Tarnopol, Łuck, Nowogródek, to jedna Polska, ta sama, co w Krakowie i Warszawie, a nie kolonja, z której mamy czerpać tylko zyski, ani miejsce zsyłki dla nieprawomyślnych oficerów i urzędników. Jedna jest wielka Polska i każda piędź ziemi polskiej jest dla nas jednakowo bliska i droga.

Właśnie dlatego, że ziemie kresowe uważamy za nieodłączną część Polski, nie chcemy niszczyć wytworzonych tam odrębności kultury ludowej, przeciwnie, istnienie ich uważamy za nasze kulturalne bogactwo. Właśnie dlatego, że mieszkańców ziem kresowych uważamy za braci, odrębności kultury ludowej Huculszczyzny są dla nas czemś równie cennem i godnem ochrony, jak n. p. swoiste piękno kultury ludowej Podhala. Ale jeśli są u nas ludzie, którzy sądzą, że krzywdzimy ludność kresową, dając jej polską szkołę, to mamy tutaj do czynienia z zupełnem pomieszaniem pojęć i zupełnem niezrozumieniem tego, czem jest Polska. Bo podnieść jednostkę ludzką na wyższy szczebel cywilizacyjny, dać jej możność pełnego indywidualnego rozwoju, może na ziemiach tych jedynie cywilizacja polska, ona jedna stwarza dla jednostki takie oparcie moralne i takie możliwości, o jakich w innych warunkach nie mogłaby tam nawet zamarzyć.

Brak wiary w siebie, nieustanne poczucie słabości i skrępowania są zjawiskami łatwemi do wytłumaczenia w pokoleniu, wychowanem w niewoli, kiedy w rodzinie narodów byliśmy „ubogim krewnym", gdy radowaliśmy się, skoro jakiś dziennikarz zagraniczny raczył czasem użalić się nad „biedną Polską". Ale my, młodzi, patrzymy na świat już jako obywatele państwa niepodległego, dlatego też to, co tak bardzo imponowało poprzednim pokoleniom zagranicą, niewątpliwie o wiele wyższy rozwój kultury materjalnej na Zachodzie, o wiele większy rozwój bogactwa i komfortu,—to wszystko dla nas przedstawia wartość wcale nie tak bezwzględną, potrafimy już na te rzeczy spojrzeć krytycznie, dostrzegając w nich niebezpieczeństwo, grożące bardzo ciężkim kryzysem narodom europejskim.

Bo cóż właściwie jest cechą zasadniczą tej „współczesności", którą doradzają nam naśladować? Jest nią powszechne, przenikające wszystko zmaterjalizowanie, kult wygody i dobrobytu, przejawiający się w życiu publicznem, nauce, literaturze, obyczaju, nawet w życiu religijnem. A więc w polityce na czoło wysuwa się hasło „interesów gospodarczych" i uważane jest za wykwit „postępu", że w walce politycznej ludzie będą szeregować się nie w obronie dóbr idealnych, lecz materjalnych korzyści i te właśnie materjalne interesy, osobiste lub klasowe, mają stać się dla jednostki punktem wyjścia i celem jej działalności publicznej. W dziedzinie nauki ogromny nacisk położony został na rozwój techniki, a postęp udogodnień technicznych jest jednocześnie źródłem najbardziej górnych natchnień „urbanistycznej" poezji. Bardzo znamiennym objawem są n. p. najnowsze prądy w architekturze, których najwybitniejszy teoretyk, Le Corbusier, po szeregu interesujących rozważań dochodzi do wniosku, że dom — to „maszyna do mieszkania". Czy jednakże można zbudować katedrę, pojąwszy ją jako „maszynę do modlitwy"?

W życiu religijnem zmaterjalizowanie bardzo jaskrawy znalazło wyraz w świecie protestanckim. Przy pomocy jakich środków działania protestancka Y.M.C.A. pragnie zdobyć nowe zastępy wiernych? Przy pomocy pływalni, mleka skondensowanego, czekolady, ponieważ nikt ani na chwilę nie wierzy, aby sama idea zdołała kogokolwiek ku sektom protestanckim pociągnąć. Apostołowie, idąc niegdyś w świat z „dobrą nowiną" wyruszyli bez mleka skondensowanego...

Hasło szukania przedewszystkiem korzyści materjalnych, uczynienia sobie życia najwygodniejszem dało ten wynik, że poziom życia niesłychanie obniżył się we wszystkich dziedzinach. Zamiast wyższych zadowoleń duchowych, szlachetniejszych typów rozrywki, szerzą się dziś formy użycia najordynarniejsze, „cywilizację zachodnią" coraz wyłączniej reprezentują u nas *American Bar* i *dancing*.

Ale ci wszyscy, którym taki typ życia nie wystarcza, ci co pragną czystszej atmosfery, wyższych, szlachetniejszych ideałów, w imię których właśnie gotowi byliby korzyści osobiste poświęcić, ci młodzi przedewszystkiem, odwracając się od tego ginącego świata, kierują myśl ku naszej własnej, polskiej tradycji i w niej szukają początku nowych dróg, wiodących ku odrodzeniu. Słowa, które niegdyś wypowiedział Mickiewicz, stają się dla nas dzisiaj drogowskazem. Do emigrantów polskich, rozproszonych w państwach Europy zachodniej po klęsce 1831 roku, pisał Mickiewicz w „Księgach Pielgrzymstwa":

„Nieraz mówią wam, że jesteście pośród narodów ucywilizowanych i macie od nich uczyć się cywilizacji,

ale wiedzcie, że ci, którzy wam mówią o cywilizacji, sami nie rozumieją co mówią.

Wyraz cywilizacja znaczył „obywatelstwo“ od słowa łacińskiego *civis*, obywatel. Obywatelem zaś nazywano człowieka, który poświęcał się za ojczyznę swą...

Ale potem, w bałwochwalczem pomieszaniu języków, nazwano cywilizacją modne i wykwintne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatra i szerokie drogi.

Toć nie tylko chrześcijanin, ale poganin rzymski, gdyby powstał z grobu i obaczył ludzi, których teraz nazywają cywilizowanymi, tedy obruszyłby się gniewem i zapytałby, jakiem prawem nazywają siebie tytułem, który pochodzi od słowa *civis* obywatel“.

Do tych właśnie polskich tradycyj cywilizacyjnych chcemy nawiązać, i jeżeli przeciwstawiamy się tak stanowczo wielu prądom, które dzisiaj nas od Zachodu zalewają, to czynimy to nie z niechęci do cywilizacji zachodniej, ale w obronie jej podstaw najistotniejszych, które u nas, uboższych w dziedzinie kultury materjalnej, przechowały się pod niejednym względem lepiej, niż u licznych narodów zachodnich.

Polska tradycja cywilizacyjna — to tradycja narodu, wychowanego od stuleci w katolickiej religji, katolickiej dyscyplinie, katolickiej etyce, która przeniknęła cały jego obyczaj, wykształciła najgłębsze instynkty moralne jednostki. Polska tradycja — to tradycja panowania prawa, od wieków krzewiona przez nas na Wschodzie, poszanowanie prawa, dzięki czemu w dawnej Polsce skazany stawiał się zwykle sam, by „zasiąść wieżę“, skoroby zaś nie chciał uczynić zadość wyrokowi, stawał się banitą. Dzisiaj inne zaczynają tworzyć się obyczaje.

Tradycja polska — to tradycja wierności i honoru, która przodkom naszym nakazywała traktować *verbum nobile* jak rzecz świętą, to przeświadczenie, że przyszłość Polski budować można tylko na wierności i honorze, nigdy na wiarołomstwie. Tej zasadzie wierności i honoru pokolenie nasze musi w Polsce wywalczyć triumf bezwzględny, w jej obronie przelewali krew ludzie z naszego pokolenia w służbie wojskowej — Szkoła Podchorążych.

Wreszcie najcenniejszą bodaj wartością cywilizacji polskiej jest odrębne, specjalnie polskie pojmowanie patrjotyzmu, o wiele bardziej idealistyczne, niż u innych narodów, bo dla Polaka ojczyzna nigdy nie była spółką celem wyzyskiwania innych ludów, ale zbiorem najwyższych wartości moralnych, które umiłował i których bronił. Kiedy inni, aby walczyć za wiarę, opuszczali ojczyznę ciągnąc do Ziemi Świętej, my od czasu bitwy lignickiej wojny krzyżowe toczyliśmy na naszem własnem terytorjum, walka za Polskę była dla nas jednocześnie walką za wiarę, walką bezinteresowną w obronie najwyższych, najświętszych ideałów. Później zaś, w ciągu stu pięćdziesięciu lat niewoli, ojczyzna dla nas nie mogła być źródłem osobistych zysków i korzyści, wymagała tylko największych ofiar i poświęceń, przyuczała żyć nie z Polski lecz dla Polski.

To właśnie odrębne, przez bieg historji naszej wytworzone pojęcie patrjotyzmu, jest ogromną wartością, jaką naród polski do ogólnego dorobku cywilizacji światowej wnosi. To odrębne polskie pojmowanie patrjotyzmu przedewszystkiem musimy obronić w Polsce, a następnie dla naszego ideału moralnego winniśmy zdobyć należne mu miejsce w świecie.

JAN REMBIELIŃSKI

AMERYKA WSPÓŁCZESNA

OBSERWUJEMY wszyscy „amerykanizację“ życia w czasach powojennych, lecz omyleni pospolitością zjawiska, zbyt często uważamy je za coś poniekąd normalnego, nieuniknionego, — jakby można było brać za jakąś cywilizację powszechną, dobrą dla wszystkich to, co w istocie swojej jest wysoce partykularne, wytworzone przez specjalne, ba — ekskluzywne środowisko, obyczaje i poglądy. Wyobcowanie amerykanizmu z życia polskiego staje przeto przed wychowawcami opinji jako jedno z pilniejszych zadań na dzisiaj, a za punkt wyjścia posłużyć winna trzeźwa i dokładna ocena tego fenomenu cywilizacyjnego, któremu na imię: Ameryka współczesna. Tu z pomocą przychodzi literatura. Właśnie rok bieżący przyniósł cenną nowość: książkę A. Siegfrieda[1]), zawierającą doskonały rozbiór amerykanizmu współczesnego, dobrze informującą, czem jest on u siebie w kraju i trafnie objaśniającą nieuchronne konflikty między amerykanizmem, a jego przeciwnikami ideowymi.

Autor, alzatczyk, profesor szkoły nauk politycznych w Paryżu, ma za sobą prace o Kanadzie i Nowej Zelandji, a przed paru laty wydał studjum o „Anglji dzisiejszej“, („*L'Angleterre d'aujourd' hui*“, 1923), obrazujące jej stan gospodarczy i polityczny. Rzecz o Ameryce wyżej postawić wypada, bo gdy opisując Anglję, nie umiał autor wskazać jakichś przyczyn naczelnych, których działaniem wytłumaczyćby można całe procesy (zwłaszcza w życiu ideowem Anglji), — to nie grzeszy podobną bezradnością w ostatniej książce, owszem, konstruuje tezę zasadniczą, sprowadzając wszystkie najważniejsze zjawiska w dzisiejszem życiu społeczno-politycznem Stanów do jednego faktu centralnego: do walki „autochtonów“ o anglosaski i protestancki charakter cywilizacji amerykańskiej.

Napięcie tej walki wzrosło znacznie od wojny światowej, wybuch jej bowiem otworzył Amerykanom oczy na to, że nie wszyscy obywatele Stanów podlegli asymilacji. W pierwszych dniach wojny czuli się więc rodowici Amerykanie, jak marynarze okrętu Sindbada, gdy przepływając koło góry magnesowej ze strachem widzieli wylatujące ze statku gwoździe. Okazało się w momencie kryzysu, że w uczuciach mnóstwa „Amerykanów“ kraj macierzysty zajmuje jeszcze pierwsze miejsce, że Ameryka nie tworzy bynajmniej całości moralnej. Od tego czasu rządzący krajem element „anglosasko“-protestancki wytężył wszystkie siły, aby zachować hegemonję dla siebie i zapewnić trwałe panowanie swojemu, t. j. anglosasko-protestanckiemu, typowi cywilizacji. Bynajmniej nie ze względów ekonomicznych — bo nadmiar sił roboczych nie dawał się jeszcze odczuwać na rynku pracy — ograniczono napływ emigran-

[1]) André Siegfried: „*L' Amérique d' aujourd' hui*“. Paris, Armand Colin, 1927.

tów, a w zmniejszonym bardzo ich kontyngencie (150.000 rocznie) uprzywilejowano ogromnie pokrewne „autochtonom“ rasy nordyczne: 86,6% przybyszów pochodzić ma z Anglji, Irlandji, Szkocji, Skandynawji, Niemiec, Holandji i t. d., zaledwie 13,3% ze świata słowiańsko-łacińskiego. Nie grozi więc teraz „autentycznym“ Amerykanom zalanie przez napływającą z za oceanu falę immigracji, lecz cóż z tego, kiedy już stanowią mniejszość etniczną we własnym kraju!

Na 105.711.000 mieszkańców USA, spisanych w r. 1920, czarni, pozbawieni prawa głosowania i odsunięci od udziału w życiu politycznem kraju, stanowili 9,9% (10.463.000), wśród pozostałej ludności zaś odsetek ras nordycznych wynosił 40,2%, odsetek latyno-słowian — 46,4%. W rzeczywistości stosunek jest jeszcze bardziej korzystny dla tych ostatnich, gdyż przyrost ludności pochodzenia latyno-słowiańskiego jest znacznie szybszy, przynajmniej dopóki ludność ta, gospodarczo gorzej sytuowana od „anglosasów“, nie podnosi stopy swego dobrobytu i wymagań. W czysto „amerykańskich“ stanach środkowych bezdzietnych jest 13% małżeństw, gdy tymczasem w środowiskach czechosłowackich 2,4%, w rosyjskich 2,5%, w polskich 2,6%, w niemieckich 3,9%, we włoskich 4,9%...

Sfery z najwyższą kulturą umysłową nie zostawiają prawie potomstwa; tak więc 60% kobiet z wyższem wykształceniem wcale nie wychodzi zamąż w Ameryce, a 36% zamężnych ma tylko po jednem dziecku. Coprawda Latynowie i Słowianie, dorabiając się i przejmując sposób życia Anglosasów, wkrótce ograniczać zaczynają za ich wzorem liczbę potomstwa, niemniej charakterystycznym wytworem psychiki Anglosasów, zastraszonych przesuwaniem się „etnicznego środka ciężkości“, są projekty *„birth control“*, czyli przymusowego ograniczenia liczby dzieci w rodzinie, cieszące się wielkiem powodzeniem w Ameryce protestanckiej, a godzące oczywiście tylko w latyno-słowian. Dużo, ma się rozumieć, brakuje do tego, żeby projekty te stały się prawem, —ogniskiem opozycji jest w pierwszym rzędzie Kościół Katolicki; lecz doskonale odzwierciedlają się w nich współczesne nastroje w Stanach, gdzie uwaga społeczeństwa w wyższym niż gdzieindziej stopniu skupia się na zagadnieniach rasy.

Amerykanie spostrzegli zresztą, że, jeśli chodzi o Europejczyków, to główną przeszkodę asymilacji stanowi raczej odmienność cywilizacji, niż odmienność rasy. Najłatwiej asymilują się, rzecz prosta, Anglicy i Szkoci, stosunkowo łatwo Skandynawowie, Niemcy, Holendrzy, Szwajcarzy ze Szwajcarji niemieckiej. Natomiast z katolikami, choćby anglosasami lub Niemcami, sprawa o wiele trudniejsza. Włosi, Polacy, Hiszpanie, Francuzi z Kanady, a także Irlandczycy, przybywający przecież ze znajomością angielszczyzny, asymilują się trudno i powoli, bo zamerykanizować się, znaczy: przyswoić sobie sposób myślenia i odruchy moralne środowiska anglosasko-protestanckiego,— świata obcego, a nawet wrogiego cywilizacji katolickiej.

Kategorja przybyszów, którą Siegfried omawia osobno, a szczerze i swobodnie—to Żydzi. Ci pozornie asymilują się najprędzej. Służy im atmosfera moralna Stanów, w której jest zarówno szacunek dla pieniądza, dla powodzenia materjalnego, jak i świadomość pewnej wspólnoty judaizmu i purytanizmu — bo oba wywodzą się z biblji, oba wprowadzają ideologję „narodu wybranego“, oba wreszcie żenią mistykę religijną z chciwością dóbr doczesnych. W pierwszej fazie Żyd asymiluje się tak gorliwie, że aż budzi to podejrzenia. „Gdy w Nowym Jorku przechodzi manifestacja nacjonalistyczna, możecie być pewni, że to właśnie Żyd niesie gwiaździsty sztandar, — gdzieś z boku „stuprocentowy“ Amerykanin, którego pradziad znał osobiście Waszyngtona, patrzy na ten widok z niesmakiem“ (s. 24). W drugiem pokoleniu Żyd wyzbywa się nawet zwykle religji mojżeszowej, — instytucją, która mu najlepiej odpowiada w tej fazie, są rozmaite *„ethical culture societies“*, kółka etyczne, gdzie obraca się wśród wolnomyślnych protestantów. W trzeciem pokoleniu uważa się za całkowicie wyzwolonego... możnaby go wziąć za Amerykanina, jednakże szczególna solidarność rasy sprawia, że nawet w najbogatszych dzielnicach miast Żydzi trzymają się razem, tworzą środowisko odrębne. Dusza żydowska, azjatycka, nie ginie w tym procesie zewnętrznej, a częściowo i wewnętrznej asymilacji; przeżywa — i często niespodziewanie daje znać o sobie, skłaniając nowowoczesnego, rzekłbyś, od pokoleń zamerykanizowanego Żyda, do powrotu na łono ortodoksji. Wypadki takie nierzadko zdarzają się obecnie, i to właśnie w najwyższych sferach amerykańskiego żydostwa.

Amerykanizacja napotyka na trudności także z innej strony. Głosząc we wszystkiem hasło standadyzacji, ujednostajnienia, zmierzając do masowej produkcji nietylko rzeczy, ale i ludzi, niweluje poszczególne indywidualności, a ostatecznie prowadzi do scherlenia indywidualności wogóle, znakomicie zato rozwijając i standadyzując w jednostce instynkty stadne. Wskutek tego wytwarza jednakowy typ Amerykanina, a raczej serje jednakowych typów. Bawić się, wzruszać, pracować lubi Amerykanin w gromadzie, i nie po swojemu, lecz jak drudzy. Stawia to niektóre narodowości niejako poza nawiasem życia amerykańskiego. Indywidualizm pracy i myślenia Francuzów, samotnicza dzikość, tkwiąca, zdaniem Siegfrieda, w usposobieniu Finlandczyków i Meksykanów, sprawiają, że te „niespołeczne“ typy ludzkie najtrudniej się wciągają do życia amerykańskiego; zasady pracy zbiorowej, skoordynowanej, wyznawane przez społeczeństwo amerykańskie, są nie dla nich.

Nie co innego, jak forsowne dążenie do wytworzenia jednolitej fizjognomji moralnej kraju podług wzoru purytańskiego było głębszym sensem całej agitacji za prohibicją, uwieńczonej ostatecznie, jak wiadomo, podniesieniem tego zakazu do godności przepisu konstytucji. Walka o prohibicję, formalnie rozstrzygnięta, *de facto* tocząca się w dalszym ciągu, była w gruncie rzeczy walką religijną, walką dwuch poglądów na świat. Z alkoholu uczynił purytanizm probierz moralności. Pozbawiony właściwie życia kościelno-religijnego, w kampanję antyalkoholową włożył cały swój fanatyzm misyjny, całą żarliwość i pasję. Katolicy, choć nie więcej ciągnący do alkoholu od protestantów, opowiedzieli się jednak przeciw tej kampanji, bo z iście amerykańską przesadą prohibicjoniści posunęli się znacznie dalej, niż tego wymagałyby względy samej hygieny, i wciągnęli na indeks nietylko mocne trunki, lecz także wino i piwo. Ludność katolicka w szerokich swych masach, zwłaszcza wychodźców niemieckich i włoskich, przyzwyczajona bardzo do tych napojów, odczuła to narzucenie zasad purytańskich, jako nieznośną interwencję prawodawcy w życie domowe, tak bezsensowną, jak bezsensowny wydałby się nam zakaz spożywania bułek albo sera. To też w stanach północno-wschodnich, z przeważającą nieraz w wielkich miastach ludnością katolicką, prohibicja jest zakazem papierowym, podobnie jak w stanach południowych na papierze tylko zostały prawa, przyznane murzynom po wojnie secesyjnej. A w walce politycznej należy prohibicja dalej do najżywotniejszych kwestyj.

Ograniczenie immigracji, prohibicja, projekty neomaltuzjańskie — wszystko to objawy reakcji żywiołów staro-amerykańskich na żywioły nowe. Podnieca tę reakcję, jak widzieliśmy, w pierwszym rzędzie duch religijny, protestancki. Że z czynnikiem tym wypada się liczyć, gdy się ma na uwadze psychikę Amerykanina, na to nie brak dowodów popularnych. Wskazują na to przecież owe kazania do Europy, wygłaszane często przez polityków amerykańskich, to — daleko nie szukając — przypomina także YMCA, to uprzytomniają takie powieści, zrobione metodą fotograficzną, jak „Babbitt" Sinclaira Lewisa.

Lecz jakaż tego ducha geneza, jaka istota? Zasadnicze znaczenie ma ta ważna okoliczność, że protestantyzm amerykański jest odmiany kalwińskiej, nie zaś luterańskiej. W przeciwieństwie do luteranizmu pojął kalwinizm jako jedną dziedzinę religję i życie, postulując, aby chrześcijanin spędzał czas nietyle na ćwiczeniach duchowych, ile przedewszystkiem chwalił Pana Boga uczynkami i pracą. Pilne wykonywanie zawodu doczesnego kalwinizm postawił niemal narówni ze służbą bożą, nie potępił wcale bogactwa ani interesów ziemskich, z czego już dosyć naturalnie rozwinął się na gruncie amerykańskim pogląd, że najlepiej chwali Pana Boga interes prywatny chrześcijanina. Dochód, to zarazem błogosławieństwo boże. Gdy kościół katolicki uczył zaskarbiać zasługę wobec nieba ubóstwem, którego dostojeństwo uczcił — to purytanizm uczy zaskarbiać tę zasługę bogactwem. Przeciwieństwo poglądów jest tutaj radykalne. „Purytanin" — pisze Siegfried — „uważa, że pieniądze przynoszą mu honor, a inkasując wpływy, z zadowoleniem mówi sobie, że to Opatrzność mu je zsyła — i tak w jego oczach bogactwo staje się widomym znakiem aprobaty bożej. Tą koleją rzeczy zmaterjalizowała się religja; zostało wprawdzie w użytku słownictwo mistyczne, jak również utrzymał się zwyczaj ujmowania wszelkich spraw pod kątem religijnym, lecz kościół oddał swą siłę poruszającą na użytek młyna produkcji..." (s. 35-36). Oto ewolucja, dzięki której „duch religijny", nie wyzbywając się słownictwa sobie właściwego, stał się w Ameryce czynnikiem rozwoju ekonomicznego.

Wspomniany zwyczaj posługiwania się słownictwem religijnem w interesach i sprawach czysto świeckich uwidocznił się nazewnątrz ze wzrostem znaczenia Ameryki w polityce światowej. Jest to ów *façon de parler*, znany dobrze z orędzi, enuncjacyj i przemówień polityków amerykańskich, i wskutek tego, że bywa brany dosłownie, wyrabiający Ameryce opinję pioniera, torującego drogę zasadom moralnym w chaszczach polityki. Ta kaznodziejska stylizacja nie przeszkadza Ameryce uprawiać polityki bezwzględnego egoizmu gospodarczego, polityki odosobnienia, nie jest bowiem indywidualnym pomysłom autorów, ani wyrazem szczególnego napięcia osobistego ich życia religijnego: przemawia tu duch społeczności purytańskiej.

W łonie protestantyzmu amerykańskiego ścierają się dziś dwa prądy: modernizm i fundamentalizm. Fundamentaliści — to kierunek konserwatywny, „dający Biblji pierwszeństwo niemal przed samym Panem Bogiem", i obstający przy dosłownej interpretacji jej tekstu. Kierunek ten reprezentuje niemal wyłącznie sekty non-konformistów, a więc przedewszystkiem baptyści, metodyści, prezbitarjanie — wyznania, dokoła których grupują się żywioły staro-amerykańskie, niepodzielnie panujące w stanach południowych, mające znaczną przewagę także w zachodnich i środkowych. Wyraża się w tym konserwatyzmie niechęć do wszystkiego, co osłabia i rozkłada tradycję protestancką, opartą na kulcie Biblji — a więc niechęć do papizmu, do burzycielskich teoryj naukowych (jak ewolucja), do mody dzisiejszej i obyczajów wielkomiejskich. Nowy Jork, Chicago znienawidzone są przez prowincję, jako ośrodki zepsucia i kosmopolityzmu. Wielkie miasta leżą w stosunkowo cienkim pasie nadbrzeżnym, importującym nowinki europejskie — dalej rozpościera się olbrzymi obszar rolniczy, nie wydający wprawdzie „wieśniaków" w naszem znaczeniu, bo nie wytwarzający żadnej kultury rodzimej i konsumujący kulturę miast za pośrednictwem radja, magazynów, gramofonów, gazet etc. — lecz trwający w tradycyjnym, nawet ciemnym, protestantyzmie, o Europie żywiący najdziwniejsze wyobrażenia i będący rezerwoarem sił dla nacjonalizmu protestanckiego.

W walce bowiem z żywiołami obcemi we własnym kraju nacjonaliści protestanccy nie poprzestają na agitacji i kampanji słownej, lecz działają też przy pomocy ramienia wielkiej organizacji, napoły ideowej, napoły bojówki, organizacji znanej pod nazwą Ku-Kluks-Klanu. Zawiązana w r. 1866 na południu (w mieście Pułaski stanu Tennessee) podczas wojny secesyjnej, po rozstrzygnięciu tej wojny na niekorzyść stanów południowych postawiła sobie za cel utrzymać supremację białych środkami pozaprawnemi, lub nawet bezprawnemi, w szczególności terrorem. Otaczając się częściową przynajmniej, a „tak miłą sercu Amerykanina" (s. 126) tajemniczością, hierarchję swą i tytulaturę utworzyła podług wzorów wolnomularskich. Dodajmy tu, że masonerja, niesłychanie w Ameryce rozpowszechniona, typem podobna do angielskiej, zbliża w Ameryce elementy protestanckie i służy im za narzędzie działania, stanowiąc wielkie bractwo wzajemnego popierania się, o charakterze przedewszystkiem klubowo-komercyjnym.

Założyciele, tworząc organizację, pofolgowali więc upodobaniom do szumnie brzmiących tytułów. Na czele Ku-Kluks-Klanu stanął „Wielki Czarodziej", jako pan „niewidzialnego cesarstwa", zwierzchnik „Wielkich Cyklopów", „Wielkich Mnichów" etc. Spełniwszy swe zadania po wojnie secesyjnej, Ku-Kluks-Klan rozwiązał się. Wskrzeszony został dopiero w r. 1915 (w Atlanta, stanu Georgia), kiedy podczas wielkiej wojny zjawiła się w Stanach świadomość kryzysu wpływów cywilizacji protestanckiej. Ku-Kluks-Klan dzisiejszy, mający swoją główną siedzibę nadal na południu, nadal też jest organizacją, przedewszystkiem przeznaczoną do utrzymywania w ryzie murzynów, na dalszym planie stawia sobie jednak także odsuwanie od wpływu na losy kraju (przy wyborach etc.) żywiołów „inowierczych" (zatem katolików, Żydów), i stanowi kadrę polityczną żywiołów staro-amerykańskich. Na konwencji ogólnokrajowej stronnictwa demokratycznego w r. 1924 Ku-Kluks-Klan rozporządzał przeszło połową głosów; w ostatnich jednak czasach podobno zaczął dość szybko chylić się do upadku. Lecz gdyby nawet upadł, reakcja, której jest wyrazem, reakcja nacjonalizmu protestanckiego na wszystko, co obce w Stanach, trwać będzie, uzewnętrzniając się tylko w nowych formach.

Moderniści, w przeciwieństwie do fundamentalistów, stanowią obóz liberalny i postępowy, który „uprzątnął do lamusa" nietylko tradycje biblijne, lecz i dogmaty religji objawionej. Obywają się bez tego, bo sprawy religji traktują „pragmatycznie", ze stanowiska efektu praktycznego — to też kierunek ten wyraża się cały w propagandzie „pracy społecznej", „służby". Zwolennicy jego rekrutują się głównie z wielkich miast w stanach wschodnich, gdzie fundamentalizm doznaje słabego poparcia, aczkolwiek do mniejszości, opowiadającej się przy nim, należą także prawie wszyscy miljonerzy, wychodząc z założenia, że „ta

religja jest dobra, która zostawia interesy w spokoju". Natchnienie czerpiąc z ducha postępu, posuwają się moderniści w negacji nader daleko, trudno zaś byłoby sformułować ich *credo* pozytywne, gdyż wolą wyszydzać zacofanych, co nie wierzą w ewolucję gatunków, niż zajmować się ustalaniem prawd metafizycznych na własny użytek. Polemiki te i spory znalazły swoje odbicie w prawodawstwie, bo fundamentaliści, nie dopuszczając, by „nowinki" podważały autorytet Biblji, zakazali nauczania teorji ewolucji w całym szeregu konserwatywnych stanów południowych. Zakaz ten dotyczy wszystkich szkół publicznych, więc także i wyższych. Słynny proces w Dayton (Tennessee) z r. 1925, o niezgodne z tradycją biblijną nauczanie ewolucji, dał pole do publicznego starcia się dwuch kierunków i roznamiętnił całą opinję publiczną w Stanach.

Moderniści zastępują dogmaty teorją o czerpaniu prawdy w sumieniu indywidualnem, zresztą, jak powiedziano, w gruncie rzeczy wyznają religję „pracy społecznej". Hasło to ogromnie spopularyzowali, a samą akcję prowadzą skutecznie i niewątpliwie w szczerej intencji, choć po amerykańsku — chodzi przedewszystkiem o wyniki namacalne, dające się ocenić w pieniądzach, — zatem sukces tych wysiłków zależy od poparcia kapitału. „Chrześcijańska praca społeczna" sprzymierza się więc z nim, lecz mimo szczerości intencyj nietyle zdolna jest zarazić go duchem chrześcijańskim, ile sama popada w zależność od swego sojusznika, który ją reguluje tak, by nic nie poczynała wbrew jego interesom. W rezultacie działalność reformatorów społecznych rzadko krzyżuje się z akcją kapitału; obie strony zazwyczaj kroczą drogami równoległemi, i gdy działają wspólnie, są potęgą, której mało co w Stanach potrafi się oprzeć.

Według „*Year Book of Churches*" liczba protestantów w r. 1923 wynosiła 28.366.000, liczba katolików — 18.261.000. Wynika z tych cyfr, że większość stanowią niewierzący; na uniwersytetach jest nawet dużo studentów nie chrzczonych. Jeśli jednak nie patrzyć na sprawę ze stanowiska ściśle wyznaniowego, to liczbę protestantów w szerszem znaczeniu, czyli jednostek protestanckiej formacji duchowej podnieść wypada do jakich osiemdziesięciu miljonów, gdy tymczasem katolików poza praktykującymi prawie niema, bo zobojętniali, jak to łatwo zrozumieć, szybko wchłonięci zostają przez otoczenie.

Jak się można domyślać, protestantyzm, rozbity na sekty z nieliczną stosunkowo klijentelą (aczkolwiek dzięki zamożności zdolne do propagandy, zwłaszcza poza Stanami Zjednoczonemi), silny jest nie jako organizacja kościelna, lecz jako duch środowiska. I stąd pochodzi nietolerancja Amerykanów, że uważają swój styl cywilizacji za najlepszy, za obowiązek poczytują sobie narzucić go innym. Gromiąc Europę za rządy nacjonalizmu, za najprostszą rzecz w świecie uważają *régime* nacjonalizmu protestanckiego u siebie w kraju. Zmienną koleją rzeczy stało się, że liberalizm zczezł prawie doszczętnie w dawnem klasycznem państwie wolności, założonem przez dysydentów, co z Anglji i Szkocji uchodzili przed nietolerancją religijną.

Nie ocaliło idei liberalnych to, że pozostają uświęcone tekstem konstytucji. Prawa jednostki, zagwarantowane przez prawo, nienaruszone na papierze, w rzeczywistości niezawsze cieszą się poszanowaniem Według zgodnego zdania kompetentnych krytyków (por. np. Bryce, „*The American Commouwealth*" i „*The Modern Democracies*"), sądownictwo należy do ciemniejszych stron amerykańskiego życia publicznego. Sprawiedliwość nie istnieje prawie dla murzynów; mocnych zaiste trzeba dowodów, aby biały skazany został w procesie z murzynem. Aż do dowodu przeciwnego roszczenia względnie skargi białego znajdują u sądu wiarę (p. S., s. 91). Ale i biali nie są traktowani wszyscy narówni. „W gruncie rzeczy, sprawiedliwość nie jest ta sama dla Amerykanów rdzennych, co niezasymilowanych: sędzia mimowoli więcej wierzy świadkowi pochodzenia amerykańskiego, niż obcego; prawdobodobnie w razie wątpliwości, domniemanie przemawiałoby na niekorzyść Włocha, Rosjanina lub Greka". (S., s. 137). — Trudno zato, zważywszy surowość elementów obcych, dziwić się temu, że w administracji Unji, urzędy obsadzone są prawie wyłącznie przez Amerykanów pochodzenia anglosasko-germańskiego.

Co do murzynów, to ci, zwartą masą mieszkający w stanach południowych, w paru przeważający nawet, postawieni są tam poza obrębem życia publicznego. W separacji, w izolacji, w niedopuszczaniu czarnych do wydźwigania się na wyższy szczebel społeczny streszcza się cała polityka południa względem murzynów. Powołuje się ono na konieczność ochrony białej kobiety przed zwierzęcością instynktów murzyna, lecz więcej niż zwierzęcości boi się postępu cywilizacyjnego murzynów, który jeszcze pewniej doprowadziłby do zmieszania się ras. Obawa to zrozumiała, niemniej jednak kwestja murzyńska zatruwa całe życie polityczne na południu, bo przyjęte jej rozwiązanie rozstraja w białych poczucie legalności i sprawiedliwości, i wogóle uniemożliwia normalne ułożenie się stosunków politycznych. Republikanami są tam tylko murzyni, w prakktyce niedopuszczani do urn wyborczych; zresztą całe południe od czasu wojny o zniesienie niewolnictwa żyje w ciągłej opozycji wobec północy, i jak jeden mąż głosuje na partję demokratów, będącą niczem innem, jak tylko koalicją różnych niezadowolonych mniejszości. I nie przychodzi z pomocą murzynom ich religja, bo choć protestantyzm wziął ich do swojej owczarni, lecz czarni baptyści lub metodyści i w kościołach i w tramwajach pozostają oddzieleni od białych.

Co w stosunkach codziennych może być nawet usprawiedliwioną regułą, staje się „faryzaizmem etnicznym" w życiu chrześcijańskiej organizacji religijnej. To też jednym z czynników wpływu Kościoła Katolickiego na gruncie amerykańskim jest jego prawdziwa powszechność. Mało ma on coprawda do czynienia z murzynami, lecz zato inna pośledniejsza kategorja obywateli: wychodźcy z katolickich krajów Europy, znajdują w nim bezinteresownego opiekuna, przygarniającego bezradnych, starającego się szanować narodowe odrębności. Lecz ma się rozumieć, nie rywalizacja o dusze, lecz głębsze przyczyny tłumaczą antagonizm pomiędzy kościołem katolickim i protestantyzmem w Ameryce. Katolicyzm niesie z sobą wiew cywilizacji, będącej prawdziwem przeciwieństwem ideowem protestantyzmu: przechowuje ducha średniowiecznej cywilizacji europejskiej, z jej odmienną skalą wartości, z tradycyjnym poglądem na doczesność; konserwuje odrębności narodowe; poddaje wiernych zwierzchności papieża w sprawach wiary i moralności.

Potężny wpływ otoczenia robi zresztą swoje, urabiając podług ogólnego wzoru także amerykańskich katolików, wydatnie się zaznaczając w sposobie myślenia i życia niższego duchowieństwa. Nawykłe do komfortu, dumne ze wspaniale urządzonych seminarjów i domów parafjalnych, opłakuje ono los ubogich księży europejskich, i nawet o sprawach duchowych zaczyna myśleć po amerykańsku, „mierzyć objętością budynków napięcie życia religijnego". Amerykanizuje się więc społeczność katolicka, i choćby nawet macierzy europejskiej nie traciła z pamięci, uważa mimo to

Stany za swoją ojczyznę, lecz walka trwa o to, czy amerykanizacja obowiązuje do zupełnego zerwania z przeszłością, do wyrzeczenia się katolicyzmu; czy mało być patrjotą amerykańskim — trzeba być patrjotą w stylu protestanckim. Jest to, jak stwierdza Siegfried, walka dwuch amerykanizmów, walka o to, czy typ cywilizacji amerykańskiej ma pozostać anglosasko-protestancki. Natężenie tej walki się nie zmniejsza, i oto w nowym świecie, świecie postępowym, otrząsającym się z form rzekomo przeżytych, rzekomo zwiastującym nową erę cywilizacji, w świecie triumfów „maszynizmu" i techniki odżywają i zarysowują się znowu stare konflikty religijne.

WITOLD JERZY CHWALEWIK

UMYSŁOWOŚĆ I POLITYKA

II

U POLITYKA ukształtowanie się ściśle określonej myśli politycznej, która z kolei wywiera niesłychany wpływ na postępowanie polityczne nietylko jego samego, ale całych generacyj, zależne jest wprost od zupełnie podstawowych z polityką pozornie mało wspólnego mających, zasad i zapatrywań. Przytoczmy jako przykład Machiavella. Dzieło jego, oparte na obserwacji oraz doświadczeniu i odzwierciadlające zapatrywania ówczesne, powstać mogło po dojrzeniu w autorze określonego zapatrywania na człowieka. Obfitująca w cierpienie myśl Machiavella nad naturą ludzką jest podłożem, na którem wyrósł „*Il Principe*". Znajdujemy w słynnem tem dziele najwyraźniej określone stanowisko etyczno-filozoficzne wobec człowieka jako takiego. Ono stanowi punkt wyjścia dla całej jego teorji politycznej i przepisów praktycznych w polityce, których tak hojnie udziela. Z tego trzeba sobie zdać sprawę, albowiem wystarczy zmiana tego punktu wyjścia, ażeby obalić wszystkie jego nauki praktyczne. Naodwrót, uświadomienie sobie tego punktu wyjścia, oraz uwzględnienie czasu i warunków, w których żył Macchiavelli, pozwoli zastanowić się zupełnie inaczej nad jego myślami i w innem ukazać świetle jego nauki polityczne. Z jakiego założenia — pytamy się tedy — wychodzi Macchiavelli w swoim „Księciu"? Odpowiemy szeregiem cytatów:

„Książę — powiada on — musi umieć dobrze posługiwać się naturą zwierzęcia i człowieka". Jakaż jest natura człowieka? Tu otrzymujemy szereg niezmiernie dokładnych odpowiedzi. „Można bowiem — czytamy w rozdziale 17-ym — o ludziach wogóle powiedzieć, że są niewdzięczni, zmienni, kłamliwi, unikający niebezpieczeństw i chciwi zysku". „Zapewne — czytamy dalej w rozdziale 18-ym, jako uzasadnienie przepisu, że nie potrzeba dotrzymywać przyczenia, o ile dotrzymanie go przyniosłoby szkodę — gdyby wszyscy ludzie byli dobrzy, przepis nie byłby dobry, lecz ponieważ są oni nikczemni i nie dotrzymaliby tobie wiary, więc ty także nie jesteś obowiązywany im jej dotrzymywać".

Niezmiernie charakterystyczne jest uwarunkowanie tego zdania „Gdyby ludzie byli dobrzy...". Znaczy to, że Machiavelli dokładnie zdaje sobie sprawę z jakiego założenia wychodzi, pisząc swoje rady. „Na świecie — powiada w innem miejscu — niema jak tłum, dla którego wystarczą pozory". „A trudno — stwierdza dalej o doradcach w rozdziale 23-cim — by ci byli innymi, albowiem ludzie będą zawsze dla ciebie złymi, jeżeli ich konieczność nie zmusi do tego, by byli dobrymi".

Pisze zaś Machiavelli swoje rady, jak to zaznacza w rozdziale 15-ym, „dla tego, który wie, o co chodzi", albowiem „wydaje mi się bardziej odpowiedniem iść za rzeczywistą prawdą, niż za jej wyobrażeniem". Zdanie to charakterystyczne jest dla trzeźwego i sceptycznego umysłu Machiavella. „Bo zresztą — powiada on — nie powinno się porzucać dobrego, gdy można, lecz umieć wejść w zło, gdy trzeba".

System polityczny Machiavella nie jest tedy zgoła czemś oderwanem, ale posiada wyraźny podkład filozoficzno-etyczny. Wyrasta on na podłożu sceptycyzmu odnośnie do natury ludzkiej, która według Machiavella jest zła. Macchiavelli nie jest zgoła człowiekiem przewrotnym, któryby walczył przeciwko dobru jako takiemu. Jest on tylko zupełnym sceptykiem, i to jest jedynym powodem, że takie a nie inne zajmuje stanowisko. W ostatniem zresztą zacytowanem przez nas zdaniu najwyraźniej dopuszcza czynienie dobrze, zakreślając tylko niezmiernie charakterystyczną granicę w słowach: „gdy trzeba".

Dzieła Machiavella wywołały w ciągu wieków namiętne dyskusje. Wpływ ich był duży, a i dzisiaj czytane są przez polityków, odczuwających jego trzeźwy realizm i brak jakichkolwiek złudzeń. Wpływowi ich zakreśla granice stanowisko, jakie czytający zajmuje wobec pytania, czy człowiek jest zły czy dobry. Według tego odrzuca się myśli Machiavella albo zastanawia się nad niemi. Wybitni politycy i mężowie stanu znajdują w nich sformułowanie głębokiego doświadczenia natury człowieka jako materjału, którym posługiwać się musi polityka zawsze i wszędzie. Z dzisiejszych mężów stanu i Mussolini należy do jego uczniów.

Przykład dzieła Machiavella wykazuje, jak dalece nawet takie kwestje, pozornie natury czysto etycznej i filozoficznej, wpływają na kierunek myśli politycznej. Polityk musi dojrzeć, musi dojść w sobie samym do pewnych podstaw, ażeby, opierając się na nich, mógł określić swoje postępowanie. W przeciwnym razie narażony będzie zawsze na niepewność i ulegać będzie wpływom raz tym, drugi raz innym.

Podobnie wywierają wpływ inne zasady i systemy etyczne i filozoficzne. Możnaby u podstaw wszystkich systemów politycznych doszukać się i ustalić zasady etyczne i światopoglądowe oraz określone teorje filozoficzne, które są punktem wyjścia dla budowy społeczno-politycznej, nadając jej taki a nie inny kierunek, chociażby nawet dla oka były one pozornie niewidoczne. Naodwrót uświadomienie sobie pewnych zarysów światopoglądu rozstrzyga niejednokrotnie o skłonieniu się do określonego kierunku politycznego. Orjentowanie się w tym splocie umożliwia praktycznemu politykowi wybór i opowiedzenie się za pewnemi kierunkami myśli, z któremi się w życiu spotyka. Jest bowiem rzeczą jasną, że praktyczna polityka znajduje się ciągle wobec konieczności zajęcia stanowiska w stosunku do najrozmaitszych przejawów życia umysłowego i duchowego. Tu, jak widzimy, wkraczamy już zupełnie w zakres polityki praktycznej. Złe orjentowanie się, polegające na nieznajomości przedmiotu, albo na powierzchownem tylko zapoznaniu się z nim, wywołać może fatalne pomyłki. Każda myśl pozatem ma swoje praktyczne skutki i przejawy. Nieznajomość źródeł jest powodem dalszych pomyłek w odniesieniu do tych przejawów.

Nie kończą się jednak na zorjentowaniu się w tych szerokich podstawach umysłowe zajęcia polityka. Prze-

ciwnie, zaczyna się dopiero praca umysłowa, dotycząca zagadnień pozytywnych polityki praktycznej. Rozmiar wiedzy potrzebnej czy to z dziedziny ekonomji, prawa czy historji jest ogromny. W Polsce niestety politykę uważa się często jako czynność nie wymagającą specjalnego przygotowania. Demokracja, a raczej system partyjno-polityczny dotychczas wszechwładny, wychował ogromną ilość „polityków“, których jedyną umiejętnością jest umiejętność agitowania wśród mas. Stwarzając w ten sposób podstawy wpływów dla siebie, ludzie ci, których nazwiemy „politykierami“, stawali się siłami, z któremi trzeba się było liczyć, i dostawali się na wysokie partyjne stanowiska. Od nich to później wychodziła głównie niechęć do pierwiastka umysłowego w polityce, co poprostu tłumaczyło się obroną własnego stanowiska. Charakterystyczne jest, że gdzieniegdzie próbowano nawet walczyć „teorją“ o czynie politycznym, który nie potrzebuje — teorji, i ukuto zdanie, że człowiek, który myśli, nie jest zdolny do czynnej polityki!

Któż jednak odmówi n. p. Mussoliniemu zdolności do polityki czynu? Ten jednakże Mussolini zajmował się bardzo pilnie „teorją“, a nawet wprost zagadnieniami filozoficznemi, i pisał nietylko o Nietzschem, ale pokusił się nawet o napisanie historji filozofji oraz studjował problematy religijne, w którym to czasie napisał książkę o Janie Husie. Nie była mu również obca i literatura a „Szkic o poezji Fryderyka Klopstocka“ jest dowodem, w jak nieoczekiwane dziedziny sięgało jego zainteresowanie.

„Nie mogę przez szacunek dla mego mózgu — są jego słowa, które cytuję według książki M. Sarfatti *„Dux“*, jeszcze z czasów, gdy był socjalistą — stać się propagandystą — tragarzem i wędrownym fonografem. Będę odbywał wędrówki po sekcjach, lecz proszę, aby towarzysze mieli pewne względy dla mnie, gdyż, jeżeliby propaganda miała mnie oderwać całkowicie od pracy intelektualnej i narazić na postępowe ogłupienie, byłbym zmuszony do namyślenia się nad tym dylematem. Zresztą lepiej wygłosić parę odczytów pełnych myśli, aniżeli powtarzać różaniec gadaniny, opartej na konceptach oratorskich, na powierzchownej i krzykliwej retoryce“.

Mussolini jest człowiekiem o wyraźnym i dojrzałym światopoglądzie, jest nietylko energją, ale i mózgiem, i tylko to, że zdobył on odpowiedź na ostateczne pytania w ramach, dla człowieka osiągalnych, uczyniło go zdolnym do piorunującego i pewnego siebie czynu, któremu nie przeszkodził zgoła fakt, że wydawał on kiedyś czasopismo zatytułowane — „Utopja“.

Jasne oczywiście jest, że przemawiając w obronie umysłowości politycznej, nie opowiadamy się zgoła za stworzeniem typu polityka, pogrążonego wyłącznie w kontemplacji umysłowej i myśli filozoficznej. Z chwilą, gdy myśl podąża w dziedziny, w których sama sobie staje się celem, i zatraca łączność z rzeczywistem życiem ludzkiem, gdy przestaje być wynikiem doświadczenia i nie ulega jego stałej korekturze, i gdy ten typ myśli nadaje piętno umysłowości danego człowieka, można się naprawdę obawiać, że w praktycznem życiu politycznem wykaże on pewien rozbrat między praktyką i teorją. Myśl polityczna nie może zbytniej wywoływać bladości. Nie *„des Gedankens Blässe“*, ale *„des Gedankens Blut“* barwić musi policzki polityka. W czynności polityka dokonywać się powinna synteza myśli z czynem, zapładniających się wzajemnie. W polityce niema właściwie czystej teorji. Prawdziwa myśl polityczna zawiera w sobie *„in potentia“* czyn, jest poprostu, ściśle rzecz definjując, wyobrażeniem czynu. Od wyobrażenia do urzeczywistnienia może być tylko krok. Wogóle cechą wyobrażenia politycznego jest wysokie napięcie energji, dążące do wyładowania go w czyn. Tem odróżnia się ono od wyobrażenia kontemplacyjnego, w którem tego napięcia brak. Jednocześnie właściwość ta powoduje uchwytność myśli naprawdę politycznej, zbliżając ją do rzeczywistości. O ile więc nawet myśl polityczna sięga aż do najdalszych krańców ducha ludzkiego, to wszystkie strumienie, które w niej się łączą, i które uwzględnia, z chwilą wejścia w jej skład, wychodzą z formy bezcielesnej, o ile się w niej znajdowały, i przechodzą przez filtr uwzględniający wyłącznie to, co posiada wartość motywu, działającego w życiu rzeczywistem. A, jak powiedzieliśmy, nawet w pozornie odległych dziedzinach istnieją i działają tego rodzaju pierwiastki. Umiejętność myślenia w ten sposób charakteryzuje prawdziwą umysłowość polityczną. Stąd myśli polityka mają zawsze doniosły, bezpośredni i szybko się ujawniający wpływ na tok życia narodu.

Powiedział Goethe w swoich *„Sprüche in Prosa“*: „Pojęcia ogólne i wielka zarozumiałość grożą zawsze spowodowaniem okropnego nieszczęścia“. W ostatnich czasach w niedokształconych móżdżkach niektórych ludzi takiem „pojęciem ogólnem“ stało się twierdzenie, że polityka nie powinna być teorją. Jest to powiedzenie słuszne, jak zresztą wynika z definicji polityki, podanej z początku. Ale w mózgach, przyzwyczajonych wyłącznie do operowania hasłami i pojęciami ogólnemi, potrzebnemi dla agitacji, zdanie to, ujmowane powierzchownie, a co gorsza, nadużywane w obronie własnego nieuctwa i tępoty, wyradza się wprost w sprzeciwianie się myśli politycznej i zapoznawanie znaczenia rozumu politycznego. Zbyteczne jest wskazywanie, do czego to prowadzi. Dzieje upadku Rzeczypospolitej w epoce Sasów posiadają wymowę wybitną. Upadek polityczny każdego państwa zaczyna się od upadku myśli i wykształcenia politycznego. Upadek Aten rozpoczął się z chwilą ustąpienia Peryklesa i dojścia do władzy Kleona. Musimy dbać o to, by w Polsce nie rozpoczęły się rządy Kleonów, którzy zawsze nazywać będą wszelką myśl i rozum pogardliwie „teorją“, poprostu dlatego, że jej nie rozumieją. Jak wszędzie, tak i w polityce, myśl jest matką czynu i o tem nie należy zapominać.

JERZY DROBNIK

FASZYZM A MACHIAVELLIZM

W ROKU bieżącym przypada czterechsetna rocznica śmierci Machiavelli'ego, tej chwały Italji, o której napis nagrobkowy florenckiego Santa Croce bezapelacyjnie głosi: *„tanto nomini nullum par elogium“*. Sława Machiavelli'ego jest podwójna: istnieje bowiem Machiavelli włoski, herold i prorok niepodległości oraz jedności Italji, jak Dante, — i Machiavelli europejski, albo wszechświatowy, odkrywca i teoretyk tej polityki, która, od jego imienia nosi miano machiavellizmu.

Ten drugi — uniwersalny — Machiavelli jest od wieków przedmiotem sporu, budzi w umysłach ludzkich niepokój, daje powód do rozmaitych wątpliwości i zastrzeżeń.

Chodzi tu o jego politykę, o machiavellizm. Przez parę wieków — a i dzisiaj jeszcze wśród szerokiego

ogółu — uchodził on za ten rodzaj polityki, za taki kodeks sztuki rządzenia, który dopuszcza użycie wszelkich, choćby najbardziej zbrodniczych środków, w celu zdobycia, wzmocnienia i zachowania władzy politycznej w danem państwie.

Osądzony w ten sposób i potępiony stał się symbolem przewrotności i niemoralności politycznej.

Wprawdzie w nauce — krytyce historycznej i filozofji — dużo się zmieniło na korzyść Machiavelli'ego i jego doktryny (poglądy Ranke'go i Gervinus'a w Niemczech, Macaulay'a w Anglji, De Sanctisa, Villari'ego, Tommasini'ego we Włoszech i t. p.)— niemniej jednak w mowie potocznej szerokiego ogółu chrzci się mianem machiavellizmu już nietylko wszelką przewrotną i bezwzględną politykę, lecz i wszelką przewrotną działalność ludzką.

Co zaś do nauki to ta, dzisiaj, główną zasługę Machiavelli'ego w dziejach myśli ludzkiej upatruje w stanowczem i odważnem uznaniu autonomji „racji stanu" wobec wszelkich praw moralnych, czyli że stawia on działalność polityczną poza złem i dobrem.

Prawdziwa przeto oryginalność Machiavelli'ego, jako myśliciela politycznego, polegałaby na oddzieleniu moralności od polityki; machiavellizm słowem byłby wyrazem amoralizmu w polityce.

Faszyzm, który rozwiał już w niwecz niejedną panującą brednię polityczną, odrzuca powyższy pogląd na Machiavelli'ego—polityka i na machiavellizm, przedewszystkiem jako nonsensowny sam przez się, nie do pomyślenia jest bowiem w rzeczywistości tego rodzaju działalność polityczna, której poszczególne czyny wymykałyby się od jakiejkolwiekbądź możliwości oceny etycznej; następnie dlatego, że stoi on w sprzeczności z najgłębszemi wymaganiami świadomości politycznej faszyzmu, która się uznaje za taką, o ile się uznaje jako świadomość moralna.

„Świadomość polityczna faszyzmu — powiada prof. Francesco Ercole w doskonałem studjum poświęconem polityce Machiavelli'ego — (p. „*Educazione Fascista*", zeszyt VI i VII 1927 r.) — nie będzie mogła nigdy wyznawać się i odzwierciadlać w polityce, która się wynosi poza dobro i poza zło, — w polityce, której wartość wyczerpuje się zgodnością środka z celem zamierzonym, jakimkolwiek byłby, i który pozostałby obojętnym dobru bądź złu tegoż. Nic z tego, co człowiek chce lub czyni w rzeczywistości, nie stoi poza dobrem i złem, gdyż nic z tego, co człowiek pragnie i robi, nie wymyka się od odpowiedzialności za dobro bądź zło, chciane i czynione. Dumą polityki faszystowskiej jest być polityką konkretnie użyteczną; jednakże użyteczną dobru, nie zaś złu. Polityka użyteczna złu nie jest polityką prawdziwą, dobrą, zdrową, — jest polityką fałszywą, złą. Taką nie jest polityka Machiavelli'ego".

Przeciwstawienie niezależnej „racji stanu" imperatywowi świadomości moralnej — w czem ma tkwić oryginalność myśli Machiavelli'ego—jest następstwem, powiada prof. Ercole, dowolnego traktowania jego doktryny politycznej jako martwej teorji, oderwanej od myśli czynnej, a przedewszystkiem od woli w stanie działania, oddzielonej również od osobowości moralnej, konkretnej Machiavelli'ego; jest to słowem wynikiem niedostrzeżenia tego, iż doktryna ta jest, w myśli Machiavelli'ego,żywą czynnością polityczną, wyrazem bezpośrednim jego namiętności narodowej, t. j. jego woli urzeczywistnienia dobra własnej Ojczyzny, które ma być dobrem absolutnem.

I w istocie, jeśli machiavellizm Machiavelli'ego wcielimy w rytm jego osobowości konkretnej, to się przekonamy, że on, daleki od oddzielania działalności politycznej od działalności moralnej, był tym, który silniej od innych odczuwał dlatego, że mocniej od wielu przeżywał, nierozdzielność prawdziwej polityki od prawdziwej moralności. Oryginalność przeto myśli Machiavelli'ego nie polegała na stwierdzeniu konieczności polityki niezależnej wobec moralności—tradycjonalnej i bieżącej jego czasów—lecz na przeciwstawieniu jej nowej moralności, takiej w której wchłonięta jest polityka, będąca jej pełnym i bezpośrednim wyrazem.

Zastanawiajac się nad sytuacją polityczną Włoch ówczesnych, Machiavelli doszedł do przekonania, że niedola ich (najazdy i ucisk obcych) nie była zależna od jakiegoś złego losu, któremu siły ludzkie nie byłyby w możności się przeciwstawić, lecz jedynie z powodu nieudolności tych Włochów, którzy aczkolwiek pragnęli zbawienia ojczyzny, nie mieli na jej usługi tej „cnoty", z jaką inni znów Włosi, troszcząc się tylko o samych siebie, nie widzieli i nie pojmowali innego dobra, prócz własnego egoistycznego interesu.

Takich, co dbali tylko o swoje dobro, było podówczas we Włoszech więcej, niż tych, co mieli dobro publiczne na względzie; pochodziło to nie stąd, że Włosi byli gorsi i bardziej zepsuci od innych narodów, lecz stąd, że nie było wówczas we Włoszech, jak gdzieindziej, wspólnego dla wszystkich Włochów ustroju jurydycznego i politycznego, który, podporządkowując egoistyczne interesy jednostek oraz stronnictw wspólnemu dobru, reprezentowanemu przez wspólną ojczyznę, powoływałby jednostki i partje do jej obrony i służby.

Machiavelli nie zrozpaczył wszakże o ojczyźnie własnej, a to dlatego, że w jego przekonaniu Włosi, jako jednostki, więcej byli warci, niż ci, co ich uciskali: Włosi, podług niego, są narodem pełnym żywotności, dlatego, że ujawniają wielką cnotę (moc, dzielność) chcenia i działania dla dobra indywidualnego.

Chodzi więc tylko o to, by wytworzyć w nich świadomość dobra wspólnego, wdrożyć ich do tego, żeby urzeczywistniali dobro ojczyzny z taką samą wolą i namiętnością, z jaką dotychczas dbali o dobro osobiste.

Zadanie to powierza właśnie Machiavelli swemu „Ksieciu". Może ono być dziełem jego własnej cnoty (dzielności) moralnej. „Cnotliwym" w tem znaczeniu, będzie „książę" wówczas, gdy dla dojścia i utrzymania się przy władzy potrafi zastosować te wszelkie środki, których użycie jest nieuniknione w danych warunkach, odpowiadające określonej rzeczywistości: będzie on zarazem „moralnym", o ile władzę swoją posiędzie i utrzyma nie dla własnej korzyści, lecz dla wspólnej ojczyzny, sprawując ją w celu zwalczenia zepsucia panującego, przywrócenia poszanowania prawa, wzmocnienia religji, polepszenia obyczajów i t. p.

Jest Machiavelli wielbicielem nietyle intencyj, ile czynów dobrych i moralnych, a w dziełach swoich składa hołd przedewszystkiem ludziom moralnym, sprawiedliwym, dobroczyńcom ludzkości, za jakich w oczach jego uchodza: Mojżesz, Cyrus, Likurg, Solon, Romulus i t. p. Tych chwałę uważa za prawdziwą i trwałą, podczas gdy chwała złych i zbrodniarzy (Agatokles, Cezar Borgia)—jest podług niego, fałszywa i znikomą.

Polityka Machiavelli'ego polega nietylko na „cnocie" pragnienia dobra publicznego, lecz przedewszystkiem na cnocie posiadania odwagi urzeczywistniania go za wszelką cenę.

Jeśli więc w tem wyraża się machiavellizm Machiavelli'ego, to — zdaniem prof. Ercole — Włochy dzisiejsze powinny w nim uczcić nietylko zwiastuna i proroka niepodległości oraz jedności Italji, lecz także mistrza tej surowej moralności politycznej, która przeciwstawia się cynicznemu amoralizmowi politycznemu, który tu i ówdzie daje natchnienie polityce naszych czasów.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

PODRÓŻ BALZACA DO POLSKI

„Revue des deux Mondes" z 1-go października b. r. ogłosiła niewydany dotychczas opis podróży Balzaca do Wierzchowni (*„Itineraire de Paris à Wierzchownia"*) majątku pani Hańskiej, z którą się, jak wiadomo, Balzac ożenił na kilka miesięcy przed śmiercią. Jest to wyjątek z większej całości p. t. *„Lettre sur Kiew"*, mającej niebawem pojawić się w druku w siódmym tomie *„Cahiers Balzaciens"* (Notatki Balzakowskie).

KRAKÓW

...„MUSIAŁEM więc czekać na kurjer krakowski i pozostać w Krakowie cały dzień. Do tej pory jechałem jednym ciągiem z Paryża, bez żadnej przerwy. Miałem przekonanie, że jeżelibym się zatrzymał, byłbym stracony, bo odczuję zmęczenie, które głuszą kłopoty podróży. Więc zwiedziłem Kraków. Poszedłem oglądać dumę zmarłej Polski, sławną katedrę zamku krakowskiego, który wsławił p. de Choisy swoją obroną, w przeszłym wieku.

Katedra krakowska warta jest podróży do Krakowa. Jest pełna kaplic grobowych, których bogactwa dadzą się tylko porównać z Rzymem i z kilkoma kościołami w Belgji. Można tam oglądać srebrne pozłacane trumny, całe kute i wyobrażające w płaskorzeźbie bitwy, w których bierze udział siedmset czy ośmset ludzi i koni. Są tam bronzowe odrzwia, cyzelowane z dwóch stron w całkiem różne arabeski, jak szale wschodnie i cudownej roboty, co dowodzi że w XIV-em stuleciu umiano obrabiać bronz i miedź może lepiej niż dzisiaj. Ten kościół ma istotne skarby, a dodam że tego, co się właściwie nazywa skarbcem niewidziałem, gdyż nie miałem czasu na wystaranie się o pozwolenie na wstęp do tego przybytku. Zresztą kościół jest pełny posągów ze srebra, srebrnych, kutych ołtarzy, naczyń świętych, wszystkiego jest pod dostatkiem. Batorzy, Korybutowie, Jagiellonowie, wszystkie polskie konstelacje są tam reprezentowane. Co się tyczy samego Krakowa, jest to trup stolicy. I żeby niczego nie zabrakło, pozostali w nim żydzi, te robaki — gryzonie.

W GALICJI

Spędziłem noc w Wieliczce, nie mogąc nic zobaczyć ze sławionych kopalni soli. Trzeba to odłożyć na inny raz. Przejechałem Galicję, gdzie teraz wszyscy właściciele ziemscy przeklinają okrutny pomysł komitetu polskiego w Paryżu, wydania bitwy bez karabinów, bez artylerji, bez prochu, bez białej broni; bo jeżeli Austrja była ohydna, emigranci polscy we Francji byli głupi, lecz niekonsekwencja polityczna emigrantów równa się ich nienawiści do współziomków, którzy się poddali swojemu losowi. Słyszałem skargi ofiar. Ci ludzie oskarżali jeszcze bardziej konspiratorów paryskich, niż wiedeńskich gnębicieli. Polacy z Paryża upajają się utopjami. Już nic nie wiedzą o swoim kraju i żeby zgalwanizować swoją narodowość, jest dla nich drobnostką zaryzykować rzeź sześciu tysięcy obywateli ziemskich i śmierć 60 tys. chłopów. Bo, wiedzcie o tem, 60 tys. chłopów zmarło tej zimy z tyfusu i z głodu, bowiem ci nieszczęśliwcy, którym rząd obiecał grunta i wolność, uważali się za bogaczy. Żaden z nich nie pracował. Ziemia pozostawała odłogiem i ginęli z nędzy, z głodu i z tyfusu. Z pewnością odwet uplanowany przez Austrję był ohydny. Austrja — może przez oszczędność — rzuciła ciemne masy na szlachtę. Ale rząd miał wymówkę: był stroną zaczepioną. Tymczasem Polacy z Paryża atakowali bez jakiejkolwiek szansy powodzenia. Taki błąd u spiskowca jest zbrodnią, a zbrodnia gnębiciela staje się (w tych warunkach) błędem. Taka jest prawda o ostatnich wypadkach w Galicji.

Szlachcice galicyjscy możeby chętnie podnieśli bunt, ponieważ jarzmo Austrji, jest nieznośne, tak w Galicji, jak i we Włoszech i sprawia że rosyjskie staje się pożądane. Ale jest pewnikiem, że Galicjanie, którym mówiono o spisku, byli jednomyślni. Gdzie wasza broń? Na kim się opieracie? Skąd pomoc? Bunt jest szaleństwem. Nie posiadamy nic, nawet szabel naszych przodków. Wściekli komuniści odpowiedzieli jak w 1792 r. „Niech umierają ludzie! Niech żyją zasady!" I to krwawe szaleństwo kosztowało sto tysięcy istnień ludzkich i zrujnowało Galicję na dziesięć lat...

...Na całej drodze wygłodniałe widma, które odpędzano batem, obstępowały wagony, z których, przyznajmy, sypały się hojne jałmużny.

Siedem godzić podróży, o piątej rano przybyłem do Brodów, miasta, które całe należy do pewnego szlachcica z Wołynia a w którem panuje ożywiony handel. Nasze więzienia wyglądają weselej od pokoi w oberży, nazwanej hotelem rosyjskim. Czekałem pięć godzin, zanim obudził się właściciel zajazdu i służba. Podróż moja właściwie się dla mnie dopiero rozpoczęła, bo sto mil, które mnie dzieliły od Wierzchowni, wydawały mi się cięższym etapem, niż te siedemset, które już odbyłem.

ŻYDZI POLSCY

Zaraz od samego początku wybuchały trudności. Żydzi obchodzili jedno z największych świąt, a kiedy żydzi odprawiają ceremonje religijne, życie handlowe ustaje całkiem. Wszystko od Brodów począwszy jest w rękach żydów. Nigdzie dotąd nie czytałem w żadnem dziele dokładnych wiadomości o tym podboju Polski przez Hebrajczyków. Żyd panuje, ale nie rządzi! Oto co jest całkiem pewne. Żydzi w Niemczech, we Francji są to ludzie, jak ty i ja, czytelniku. Ich religja ich obyczaje tak się zlały z ogólnym rozmachem społeczeństwa, do którego się żydzi tylko przyczepili, że wszystko to, co stanowi odrębność żydowską znikło, oprócz sprawności w handlu i chciwości. Ale chciwość żydowska nakłada (u nas) żółte rękawiczki. Żyd jest u nas poetą jak Heine, muzykiem jak Meyerbeer i Halevy, kolekcjonerem jak Fould; hojnym mecenasem jak Rotszyldzi; gdy tymczasem, począwszy od Krakowa, ukazują się prawdziwi talmudzyści. To też, kiedy Franciszek II-gi, ten krotochwilny monarcha, którego żywot oczekuje na historyka, co jest niemożliwe jeszcze przez lat trzydzieści, zaszedł do bóżnicy w Brodach i kiedy ujrzał prawdziwych żydów, ustrojonych za arcykapłanów, w pontyfikalnych szatach różnych stopni, nachylił się do towarzyszącego mu księcia i szepnął mu tonem człowieka, który raptem odgadł zagadkę:

— Ach! teraz rozumiem, dlaczego noszę tytuł króla Jerozolimy!

W żadnym innym kraju narodowość żydowska tak zuchwale się nie zakorzeniła, niby mech na polu, jak w Polsce. I teraz rozumiem wstręt cesarza Mikołaja do tej uzurpatorskiej potęgi. Żydzi tutejsi niczego nie zaniechali ze swoich zwyczajów. Nie zrobili najmniejszego ustępstwa na rzecz obyczajów kraju, w którym ich rasa się rozpostarła.

...Widziałem ich po małych mieścinach, rojących się jak muchy, kiedy zdążali do bóżnic w kostjumach rytualnych, których dziwaczność rozśmieszała mnie, tak jak śmieszy maskarada, ale którym się tutaj nikt nie dziwi.

— — — — — — — — — — — — —

Nigdy żydzi nie łączą się z chrześcijanami, ale zmieniają religję, żeby otrzymać szlachectwo i módz posiadać dobra ziemskie. Wymieniają mi rodziny polskie i rosyjskie pochodzenia żydowskiego. Z żydami

w Polsce dzieje się to samo, co z metysami w Ameryce: w piątem pokoleniu pierwotna skaza jeszcze nie jest zmazana i wielcy panowie polscy pamiętają ją zawsze...

— — — — — — — — — — — —

Żydzi trzymają się z sobą, jak deportowani w miejscu kaźni, jak aktorzy, jak wszystkie rasy wyjęte z pod prawa...

...Nic nie dorównywa ich odwadze do spekulacji. Olbrzymie fortuny nagle wyrastają i nagle giną...

— — — — — — — — — — — —

Żydzi są okropnymi złodziejami, pod tym względem są kuzynami Chińczyków. Nikt nie da wiary, ile się w tej okolicy kradnie co roku koni, zwłaszcza na granicy rosyjskiej. Żyd nie cofa się przed morderstwem, gdy tylko rozchodzi się o pokaźną kwotę. Ta rasa ma zwyczaje i przesądy dziwaczne, zachowała też dzikie tradycje. Skoro w jakiej rodzinie przytrafi się żyd pozbawiony ducha grabieży, niezdolny do płókania dukatów w kwasach, do obrzynania rubli, do oszukiwania chrześcjan i który żyje bez zatrudnienia, familja go żywi i dostarcza mu pieniędzy, a taki osobnik uchodzi za genjusza. Jest to przeciwieństwo tego, co się dzieje na Zachodzie, gdzie genjusz uchodzi za idjotę w oczach burżuazji. Za to święty żydowski musi ciągle odczytywać biblję, modlić się i pocić, jak fakir. Rodzina Rotszyldów ma takiego świętego.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

Możecie mnie teraz zapytać, dlaczego milczałem o miastach, przez które przejeżdżałem i o krajach. Oto dlatego, że wszędzie taka sama płaszczyzna, takie same miasta. Każde podobne do Wiesbadenu, trochę mniejsze, albo trochę większe. Od Renu po Karpaty, jedna równina raczej piaszczysta, niż urodzajna. Krajobraz francuski spotyka się dopiero pod Krakowem.

Galicja, która ma sto mil długości i trzydzieści szerokości, jest pagórkowata i urozmaicona jak Francja, tylko, że się nie widzi z drogi wsi i mieszkań ludzkich. Stacje kolejowe wypadają po małych miasteczkach, dwory ukrywają się starannie, tak starannie, że nie dojrzałem zamku w Przeworsku, należącego do ks. Henryka Lubomirskiego, chociaż jadłem obiad w samym Przeworsku.

Hanower, Magdeburg, Wrocław są to wszystko miasta w rodzaju Frankfurtu. Berlin, który już dawniej znałem, jako miasto, przedstawia się o wiele pośledniej od Nantes. Nigdy nie uda się królom pruskim zrobić Berlina zajmującym. To miasto robi wrażenie dykcjonarza i mimo całego postępu — bo przybywa mu mieszkańców i znaczenia tak, że może niebawem przerosnąć Wiedeń, to przecież Wiedeń zawsze będzie zabawny, a Berlin nudny. Myślę, że to jest skutek protestantyzmu. Berlin pod względem nudy jest bratem Genewy. Natura w Genewie zrobiła co mogła, a człowiek wszystko popsuł. Wyobraźcie sobie Genewę wśród piasków, a będziecie mieli pojęcie o Berlinie. Będzie to może kiedyś stolica Niemiec, ale zarazem i stolica nudy.

CHŁOP RUSKI

Z Dubna do Annopola, dokąd przybyłem około szóstej wieczorem, widziałem tylko łany pokryte zbożem*) i ścierniska. Co pięćdziesiąt wiorst dostrzegałem albo przy drodze albo na horyzoncie budynki wspaniałe, otoczone parkiem i dachy miedziane błyszczące w słońcu. Ale co za różnica z Galicją! Wszędzie widziałem gromady chłopów i chłopek, jak szły do roboty lub od niej wracały i wszyscy prawie śpiewali wesoło. A napewno, żadna władza nie kazała im się weselić, więc była to natura chwycona na uczynku. Nie mówię o obecnym stanie w Galicji, bo to jest wyjątek spowodowany nieszczęściem, ale ogólne wrażenie jakie robią krajowcy trzech prowincji, które przejechałem, jest o wiele więcej pocieszające, niż wygląd ludności, którą się spotyka podróżując po Francji. I nic naturalniejszego, bo skoro się dowiedziałem o warunkach bytowania chłopów w Polsce i w Rosji, zrozumiałem dopiero, dlaczego ci ludzie są szczęśliwi.

Nie wpadając w paradoks, można powiedzieć, że chłop rosyjski jest sto razy szczęśliwszy od dwudziestu miljonów Francuzów, które stanowią lud, t. j. tych, którzy nie są bogaci, ani nawet zamożni. Chłop rosyjski ma swój domek drewniany i na własny rachunek uprawia jakieś dwadzieścia naszych morgów. Z tego obszaru nie zdaje nikomu rachunku. Za to musi pracować 150 dni w roku na rzecz swojego pana. Podatki jakie płaci chłop, są bardzo nieznaczne, a przytem właściciel musi mieć dostateczne zapasy, żeby wyżywić swoich chłopów w czasach nieurodzaju...

— — — — — — — — — — — —

...Żywią go (chłopa), płacą mu (za dni nadobowiązkowej pracy) i niewola jest dla niego źródłem szczęścia i spokoju...

— — — — — — — — — — — —

Barbarzyńska ciemnota jest piętnem chłopów; są zręczni, chytrzy, ale potrzeba będzie wieków, żeby ich oświecić. Mówić im o wolności, to wpajać w nich wiarę, że nie będą potrzebowali pracować...

...Obecnie chłop (rosyjski) myśli tylko o tem, jak zdobyć pieniądze na wódkę, słowo więc „wolność" rozumie chłop, jako wolność upicia się...

...Dwory z drzewa, wieś, miasta w Rosji noszą na sobie piętno obozowiska hordy. Wszystko ma charakter tymczasowości. Można łatwo policzyć domy budowane z cegły. Niema pięciuset dworów podobnych do tego, do którego zdążam, w trzech guberniach, które razem dorównują Francji...

— — — — — — — — — — — —

Następnie opowiada Balzac różne przygody podróży od granicy rosyjskiej do Berdyczowa, który tak opisuje:

...Tam ujrzałem z nowem zdziwieniem domy tańcujące polkę, to znaczy pochylone to na prawe, to na lewe biodro, albo twarzą ku ziemi zwrócone. Większość tych domostw rozwalona. Niektóre tak małe, jak budki jarmarczne, a czystość ich taka sama, jak chlewów. Jest to widok tak nieoczekiwany dla Europejczyka, dla Paryżanina, że trzeba się z nim spotkać kilkakrotnie, aby się doń przyzwyczaić. Ten obóz żydowski był pełen żydów, którzy wszyscy wylegli na ulicę...

...Tłum był tak zbity, że mój powóz zaprzężony w sześć koni, mimo dzikich nawoływań pocztyljona, przepychał się z wielką trudnością...

W Berdyczowie musiał Balzac nająć żydowską budę, żeby się dostać do Wierzchowni. Oto jak opisuje zetknięcie się osobiste z Żydami:

...Obstąpiła mnie chmara Żydów, naliczyłem ich dwudziestu pięciu. Wszyscy ubrani w czarne kitle, jak seminarzyści, z oczami błyszczącemi jak karbunkuły, z brodami trzęsącemi się w słońcu, z rękami chciwemi, które musiałem poskromiać uderzeniami laski, bo każdy chciał się przekonać, czy mój łańcuszek od zegarka jest z prawdziwego złota i ile waży...

— — — — — — — — — — — —

Widok rezydencji polskiego magnata nu Ukrainie, Wierzchowni, zrobił na Balzaku wielkie wrażenie:

...Ujrzałem—mówi—coś w rodzaju Louvre'u jakoby świątynię grecką, ozłoconą promieniami zachodzącego słońca...

Przełożył FELIKS CHWALIBÓG

*) Prawdopodobnie proso i owies, bo we wrześniu było zapewne dawno po żniwie pszenicy.

LIBERUM VETO

Dwa podobieństwa: Rzeczypospolita Babińska i Rosja carska. — Starzy i młodzi. — Magnetyczne siły. — Z wiatrem i przeciw wiatrowi. — Nerwy Warszawy. — Jedyna pobudka ożywienia.

ŚCIŚLE trudno powiedzieć, czy nasze obecne stosunki bardziej przypominają Rzeczypospolitą Babińską, czy też carską Rosję. Z pierwszą mają wspólny humor. Jeden z dziejopisów babińskich opowiadał, że widział dzwon z gliny iłżeckiej: gdy w niego uderzono w Krakowie, po ośmiu tygodniach słychać było w Rzymie. Łowczy spotkał dzika z wystrzelonemi oczami, który trzymając zębami ogon syna, szedł za nim; myśliwy odstrzelił młodemu ogon i ująwszy go zaprowadził starego do swego dworu o dwie mile. Inny widział stóg ogórków, konia z głową na tyle, przetak pełen wody deszczowej i siekierę wełnianą. Niektórzy obywatele piastowali po kilka urzędów, bo to było *compatibile in Repupblica Babinensi*. Chociaż prasa „sanacyjna" kłamie nie gorzej, ma jednak tę wyższość nad babińcami, że oni nie umieli, tak jak ona, zaprawiać swych łgarstw oszczerstwami i zniewagami.

Co do drugiego podobieństwa naszych doświadczeń, jest ono może większe od poprzedniego. Mikołaj I po przyjęciu deputacji z Warszawy pisał w liście do Paskiewicza: „Polacy drżeli w całem znaczeniu tego wyrazu". Drżą obecnie we wszystkich miejscach i stosunkach, na wszystkich stopniach społecznych. Dawniej w urzędach można było pogadać nawet z surowymi czynownikami. Dziś urzędnik nie chce wcale rozmawiać, daje odpowiedzi jednowyrazowe, widocznie boi się słów własnych. Dawniej w wagonach kolejowych podczas podróży panował gwar, dziś — milczenie, wszyscy patrzą na siebie nieufnie, podejrzliwie, badając czy między nimi nie znajduje się „grochowe palto". Tak w Rosji nazywali się wyławiacze kandydatów do „III otdielenia". Zdaje mi się, że ich liczba jest obecnie daleko większa, bo oprócz zawodowych rozmnożyli się ochotnicy. Niedawno czytaliśmy w gazetach, że redakcja pewnego dziennika lwowskiego składa się z „syszczyków" amatorów, którzy tajemnie „inwigilowali" podejrzany dom i wykryli w nim winowajców politycznych, przepisujących druk niedozwolony. Jest to gatunek nadzwyczajnie mnożny i jeżeli coś nie powstrzyma jego płodności, wkrótce co drugi poddany (obywatele znajdują się tylko w muzeum) będzie nosił „grochowe palto". My starsi, którzy nie zapomnieliśmy jeszcze z dawnych czasów strachu przed władzą, kar wymierzanych „porządkiem administracyjnym", badań w „domach predwaritielnawo zakluczenia", pokuty w Cytadelach, „Krestach" i „Pietropawłowskich krepostiach", nagłych zniknięć przestępców politycznych i tajemnych śledztw, my starsi nie odczuwamy tak mocno powrotu owych — mówiąc dzisiejszym językiem — „radości życia" i prawie dziwilibyśmy się, gdyby nam nie wyznaczano galówek i nie kazano wywieszać flag „dobrowolnie". To tak niedawno, więc jeszcze dobrze pamiętamy, jak jeden z tysiąca drobniejszych samowładców mówił do aresztowanego: „Konstytucja? Ja tobie dam taką konstytucję, że swoich zębów się nie doliczysz". Gdyby wówczas chowano Słowackiego na Wawelu, a jakiś natrętnik chciał się przecisnąć przez mur straży bezpieczeństwa, odepchniętoby go z krzykiem: „Kuda leziesz, swołocz!", Wszystko jest nam dobrze znane.

Ale młode pokolenia nie są z tem oswojone i odmawiają pacierz z przykazaniami konstytucji. Niedawno odbył się Zjazd Młodych Obozu Wielkiej Polski. Przemawiano na nim bardzo cenzuralnie, ale z gładkich słów skrzyły się krople tego eliksiru demokratycznego, którego w sklepach monopolowych nie sprzedają i dostać go można tylko w aptekach narodowych. Objaw bardzo pocieszający, daje nam bowiem nadzieję, że te światła i ognie, które dziś zdmuchnięte i oplute pogasły, rozpalą się znowu w umysłach i sercach twórców przyszłości. Praktyczni żydzi uczą w swoich przysłowiach: „Gdy złodziej potrzebny, to go i z szubienicy odcinają... Gdy się wiedzie, to i wół się cieli... Gdy nie jest tak, jak chcemy, to chciejmy tak, jak jest". Są to rady bardzo mądre, ale mają jednak dużą wadę: ażeby je stosować, trzeba przedtem upodobnić się do psa, bydlęcia lub świni. Wtedy rzeczywiście są znakomite. Nasi młodzi z pod znaku biało-czerwonego nie chcą z nich korzystać i przyprawiwszy sobie idealne skrzydła, wzlatują wysoko i pędzą pod wiatr. Wysokość lotu nie wymaga wielkiego trudu, ale walka z wiatrem jest ciężka. Przypatrzmy się obrazowi pól i lasów podczas silnego wiatru: zboża, trawy, zioła, krzewy, wiotkie płonki pochylają się pod jego naciskiem, tylko wielkie drzewa stoją prosto, nie zmieniając swego pionu a szumem liści i gałązek urągają dzikiej potędze. Możesz nas wyrwać z korzeniem i obalić — mówią — ale nie zegniesz, chociażbyś wezwał na pomoc wszystkie moce burzy. Tak samo dzieje się śród ludzi. Tylko charaktery wielkie opierają się gwałcącej sile, tłum poddaje się jej łatwo. Czyni to nie tylko z wyrachowania i niemocy, ale z popędu uległości. Sam nie umie ani myśleć, ani sobą kierować, chce być rządzonym, potrzebuje pana i jeżeli nawet z początku zauważy, że ten władca nie posiada rozumu i dobrej woli, wkrótce godzi się z jego niezdolnością i tyranją, które go uwalniają od potrzeby samodzielności. Doprawdy za wiele wymagamy od ludzi, którym cały wysiłek myślowy zaledwie wystarcza na obsłużenie swego mizernego żywota, ażeby oni przerabiali w swych móżdżkach trudne zagadnienia polityczno-społeczne i mężnie walczyli z niepożądanem rozwiązywaniem, zwłaszcza gdy ich nie pobudza do tych starć gorący temperament. Polacy wogóle mają tak miękką naturę, że w niej wbrew prawu fizycznemu kąt odbicia jest mniejszy od kąta padania. A już szczególnie odznacza się tą właściwością Warszawa. Może dzięki wielkiemu procentowi Żydów jest to miasto dziwnie bezwrażliwe, ze sznurkowemi strunami duszy, podobne do spokojnej sadzawki, w którą wrzucony największy kamień wywołuje tylko chwilowy plusk i parę kręgów wody i powierzchnia szybko się wygładza. Ze zgiełku krzyków komunistycznych, socjalistycznych, radykalnych, narodowych, konserwatywnych zdawałoby się, że w niej wre wulkan, a tymczasem tylko hałasuje *jazzband* i nocne hulanki, przerywane zjazdami, obchodami, pochodami i procesjami do grobu nieznanego żołnierza. W żyłach Warszawy zamiast krwi płynie rozcieńczony sok malinowy, jej puls ledwie daje się wyczuwać, nie zdradza nigdy silnej gorączki a przyśpiesza się nieco chyba tylko na widok jakiegoś drażniącego filmu w kinematografie. Gdyby nad nią zapanował Herod i kazał pewnego dnia wymordować wszystkie niemowlęta, czytalibyśmy nazajutrz w gazetach o „godnym ubolewania wypadku", o „braku praworządności", o „pogwałceniu konstytucji" lub też o „oczyszczeniu powietrza z miazmatów" i o „głębszym oddechu piersi patrjotycznych". Żywszy temperament objawia się tylko wtedy, gdy przeciwnicy partyjni i dziennikarze zaczną sobie wymyślać, co im zresztą nie przeszkadza występować łącznie w rozmaitych deputacjach, uchwalać protesty i po najgwałtowniejszej wymianie zniewag i oskarżeń wykrzyknąć przy sposobności: „Kochajmy się!" O naszej stolicy mazurskiej można powtórzyć to, co ktoś powiedział o Niemcach: „Raz tylko wstrząsnął nimi Luter religją, ale ich zaraz uspokoił Franciszek Drake kartoflami".

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ZNAMIENNY RUCH UMYSŁOWY

WIADOMO już z dzienników, że w końcu października odbył się w Warszawie zjazd „Młodych“ Obozu Wielkiej Polski. Stawiło się półtoratysiąca z górą delegatów z paru województw. Mieliśmy już zjazdy podobne w kilku miastach prowincjonalnych. W nr. 21 „Myśli Narodowej“ przytoczyliśmy uchwały zjazdu Młodych w Kielcach.

Widzimy, że te zjazdy i ich uchwały są wyrazem powszechnego w młodem pokoleniu ruchu umysłowego. Obejmuje on zarówno obecną młodzież akademicką, jak i tych, którzy po ukończeniu szkół zajmują posterunki społeczne. Ruch ten skupia młodzież wszystkich dzielnic i — co jest ważne — nie oddala ich od starszego pokolenia w obozie narodowym, ale owszem zbliża do niego. Formy organizacyjne wywiązują się spontanicznie pod ciśnieniem potrzeby moralnej jednoczenia i czynu.

Wyjawia się nowy duch społeczeństwa, które po wojnie dopiero teraz zaciera w sobie ślady dawnych rozbiorów i poczyna normalnie funkcjonować psychicznie. Ruch młodego pokolenia wywiera na społeczeństwo wpływ dobroczynny, który niebawem ujawni się w skutkach. Wstępuje w starszych wiara w życie, mocno zachwiana zdarzeniami, które się przytrafiają młodemu Państwu. Nie miało ono jeszcze dostatecznego oparcia w zorganizowanej duszy narodu i dlatego losami jego rządził przypadek. Było, jak rzecz niczyja, wpadająca w ręce ludzi zmanierowanych polityką w dzielnicach czasu niewoli. Teraz z łona społeczeństwa, już nie z teoryj książkowych i od mężów stanu, wydobywa się myśl swoista, odpowiadająca nowemu polskiemu układowi sił moralnych.

Wyznanie wiary Młodych, w rezolucjach warszawskich wyrażone, streszcza się w kilku znamiennych zasadach: 1) młodzież wchodzi w życie publiczne, poczuwając się do odpowiedzialności za losy Narodu, 2) ogłasza walkę wszstkiemu, co jest niewiarą i biernością moralną, 3) zaczyna od pracy nad wzmocnieniem religijno-moralnem społeczeństwa, 4) ogłasza się z całą świadomością za polskiego spadkobiercę zasad cywilizacji zachodniej, opartej w życiu społecznem na poczuciu prawa, 5) poczuwa się na siłach do walki ze złem i z przypadkowością życia i do wprowadzenia w życie społeczeństwa ładu odpornego na rozkład. 6) z pośród zasad politycznych wysuwa na czoło: „Polska jest państwem narodowem“ i 7) w robocie politycznej uznaje potrzebę jednego wielkiego stronnictwa — narodowego.

Jednem słowem: nigdy jeszcze nie wystąpiła w życiu Polski tak jasno myśl, że dla istnienia i potęgi państwa potrzebne jest przedewszystkiem wytworzenie narodu, jako podmiotu dziejowego, umiejącego myśleć i działać.

Dopełnia się w życiu Polski widomie akt wiekowego procesu cywilizacyjnego w zakresie psychiki narodu. Wolą władców wytwarzane państwa były aparatami, w których wychowywały się społeczeństwa narodowe, aż dojrzały w narody ze zorganizowaną psychiką. Dziś są to samoistne osobowości, wiedzące, że snują koło siebie swoistą cywilizację, do czego im potrzebny własny warsztat państwowy i że są twórcami dziejów.

Jest to ze stanowiska socjologicznego rezultat nieoczekiwany w tej postaci przez tajne związki międzynarodowe, które przed stu laty głosiły walkę „ludów“ z „tronami“. Ówczesne wolnomularstwo pracowało dla nas, jako narodu, dla tego pokolenia. które czuje się na siłach realizować idee suwerenności narodu. Kłamstwem są zapewnienia historyków wmawiających, że dzisiejsza umysłowość masonerji jest ta sama, co Lelewelów, Zanów i Mickiewiczów. Jakież zadanie widzi ona teraz? To jedno przedewszystkiem, aby zniszczyć to, co przed stu laty do życia tamci „demokraci“ powoływali. Mordować jednak można tylko jednostki i twory ludzkie; w narodzie tkwi wieczny pierwiastek życia.

Najpiękniejszym, najtrwalszym produktem dziejów jest to, co one wytworzą w psychice zbiorowiska. Długiego potrzeba było czasu i ciężkiej pracy duchowej, zanim się w Polsce poczucie osobowości udzieliło na własność świadomości narodowej.

Do tematu tego nieraz wrócimy. Obecnie tylko notujemy dla pamięci fakt Zjazdu Młodych i ich uchwał.

WSKAZANIA POLITYKI ZAGRANICZNEJ

ZANOTOWAĆ wypada zdarzenie ważne w publicystyce: ukazał się zeszyt wskazań programowych Obozu Wielkiej Polski, obejmujący dziedzinę polityki zagranicznej*). Czemu to zdarzenie ważne, pojąć łatwo, gdy się weźmie pod uwagę, że to pierwsza wogóle publikacja, przedstawiająca całokształt zagadnień z tej dziedziny i wyprowadzająca umotywowane, szczegółowe wskazania. Żaden inny obóz polityczny nie czuł się na siłach wziąć odpowiedzialności za szczegółowy program w tej dziedzinie, ani zdobyć się na jego głębokie uzasadnienie, bo żaden nie miał za sobą dostatecznie solidnych przemyśleń. I chociaż przez cały prawie czas istnienia niepodległego państwa polskiego odsunięty od kierownictwa polityki zagranicznej, obóz narodowy, dzięki tradycji swojej i ciągle świeżemu wysiłkowi myśli, także obecnie i w tej dziedzinie twórczości wysunął się na czoło, stwarzając jedyny zupełny, jedyny ważki w każdem słowie podręcznik programu polskiej polityki zagranicznej.

Ta zupełność już w tem się wyraza, że uwydatniono zapoznawany czasem, a niezmiernie ścisły w rzeczy samej związek między polityką zewnętrzną a wewnętrzną w życiu narodu nowoczesnego. Dziś celem całej polityki, więc także zewnętrznej, jest dobro narodu, zatem pierwszym warunkiem tej polityki jest, ażeby sama istota, prowadząca ją, t. j. naród, był silny, spójny i tak zorganizowany, ażeby mógł bez przeszkody w polityce wypowiadać swoją wolę i żeby żadne czynniki obce na tę politykę nie wywierały wpływu. Narodowe pojęcie polityki zagranicznej różne jest od pojęć dawniejszych, od polityki monarchy i dynastji, co wyraża się przedewszystkiem w tem, że polityka państwa narodowego nie godzi się z imperjalizmem. Naród dzisiejszy musi dążyć do posiadania takiego państwa, w którem ten naród może być zdolny do pozostania istotą rządzącą, do zachowania swojej zwartości i do zabezpieczenia się od rozkładu na skutek przewagi żywiołów obcych.

Inne też są dziś metody i warunki działania. Wojna, do której ongiś często się uciekano, dziś nie jest tem, czem była dawniej i nie może być równie pospolitym, jak dawniej argumentem politycznym. Akcja pacyfistyczna nie dotyka wprawdzie przyczyn, wywołujących wojnę i wojnie zapobiec nie może, lecz

---

*) Obóz Wielkiej Polski. Wskazania programowe, zeszyt VI: Polityka zagraniczna. Napisał Zygmunt Berezowski. Warszawa, 1927.

mimo to dążenie do utrwalenia pokoju wywierać musi znaczny wpływ na politykę każdego państwa.

Przy układaniu nowej mapy Europy starano się doprowadzić do tego, by granice państw odpowiadały granicom narodów, lecz zasady tej nie wprowadzono ściśle w życie. Niemcy zachowały przy sobie znaczną część ziem polskich, osiągnęły połowiczne rozwiązanie sprawy Gdańska i nie utraciły związku państwowego z Prusami Wschodniemi, przy których ponadto pozostawiono Warmję i polski etnicznie kraj mazurski. Traktat Wersalski oparł bezpieczeństwo pokoju europejskiego na złudnych w niemałej mierze podstawach. Pomimo otrzymanych strasznych ciosów Niemcy powiększają stale swoje znaczenie polityczne i gospodarcze. Organizują nową politykę, pragnąc kosztem zgody na granice zachodnie uzyskać swobodę ruchów na Wschodzie. Rozumiejąc, że niepodobieństwem jest dziś wymazać Polskę z liczby państw niepodległych, za główny cel stawiają sobie zdobycie korytarza do Rosji, złożonego z polskiego Pomorza, Prus Wschodnich, Litwy Kowieńskiej i dołączonej do tego ziemi Wileńskiej. Locarno umożliwiło poniekąd tę politykę, która jednak natrafi poza wszystkiemi innemi, na zasadnicze trudności, wynikające z politycznej sytuacji Rosji.

Najważniejsze skutki rewolucji komunistycznej wyrażają się nie w zmianach gospodarczych, a w narodowo-politycznych. W przedwojennej Rosji żywioł prawdziwie rosyjski, t. j. Wielkorusi, nie dosięgał 50% ludności państwa. Rewolucja, wprowadzając system federacyjno-autonomiczny, zagroziła państwu przyszłemi separatyzmami narodowemi, bo obudziła zaczątki dążeń narodowych. Niewiadomo, czy przyszła Rosja potrafi strawić element mało — i białoruski, tembardziej nie będzie leżało w jej interesie wydzieranie Polsce, do tego ubogich stosunkowo, ziem wschodnich. Prócz tego w niedalekim już czasie Rosja może być zainteresowana sprawą obrony przed Azjatami swego obszaru narodowego w Azji. Przy umiejętnej i rozumnej z obu stron polityce, zagadnienie ukraińskie może być pomostem porozumienia między obu państwami. Narodowa polityka Rosji ma w najważniejszych kwestjach więcej punktów stycznych z polityką polską, niż z niemiecką. Przejściowo polityka berlińska w Rosji może oczywiście niejednokrotnie zaniepokoić Polskę i Europę Zachodnią.

Polska jest dziś państwem „o interesach ograniczonych", ma jednak objektywne warunki do stania się mocarstwem. Zajmuje ważną pozycję na kontynencie europejskim, a za 20 — 30 lat będzie przeszło 50-cio miljonowym narodem, wreszcie posiada bogactwa kopalniane i samowystarczalność rolniczą.

Dotąd jednak dzieło oporu przeciw Niemcom na terenie środkowej Europy prowadziła Francja, zawierając sojusze z Polską, Jugosławią, Rumunją, i Czechosłowacją. Polska dotychczas zachowała się biernie, powinna jednak skupić koło siebie mniejszych i słabszych sąsiadów, w szczególności uregulować stosunki swoje z Czechosłowacją w ściślejszej niż dotychczas postaci. W razie „*Anschlussu*" Czechosłowacja ujrzałaby się niemal otoczoną przez Niemcy i Węgry — a dążenie do „*Anschlussu*" wypływa z istoty procesów narodowych współczesnej Europy i jest poza tem poparte poważnemi względami gospodarczemi.

Kamieniem węgielnym naszej polityki zagranicznej jest, ma się rozumieć, sojusz z Francją, który może być uważany za jeden z najtrwalszych w Europie. Wobec wyczerpania Francji Polska niezawsze dziś może wyciągnąć wszystkie korzyści z sojuszu francuskiego, tak jak Francja nie może wyciągnąć wszystkich z polskiego, skutkiem nienależytej organizacji naszego państwa, lecz w miarę wzmacniania się obu państw ten stan rzeczy powinien odpowiednio się zmieniać.

Rozwój całego szeregu procesów polityki niemieckiej może z czasem zbliżyć także Polskę i Włochy. Dziś posiada Polska jednego sojusznika na południu: Rumunję — niestety, wskutek trudności wewnętrznych, w rozwoju stosunków z tym sąsiadem wykazała, jak dotąd, niezmiernie mało inicjatywy i nie okazała się dostatecznie czynna.

Na północy państwa bałtyckie przedstawiają dla Polski wartość nie jako sojusznicy, lecz jako teren pomocniczy do rozwiązania problematu bałtyckiego. Cała przyszłość wielkopaństwowa Polski wiąże się z przyszłością szeregu ziem nadbałtyckich. W tej dziedzinie pierwszem zadaniem jest doprowadzić do zamknięcia raz na zawsze dyskusji o naszem Pomorzu na terenie międzynarodowym. Tego rodzaje dyskusje o ziemi, stanowiącej integralną część terytorjum danego narodu i państwa, w normalnych warunkach politycznych nie mogą być dopuszczone. Co do Gdańska, którego interesy gospodarcze ścierają się z wpływami politycznemi niemieckiemi, to musimy doprowadzić do zwycięstwa pierwszych, a wyeliminowania drugich, i mamy po temu środki. Warunki gospodarcze podyktują z czasem także ludności Prus Wschodnich konieczność takiego układu stosunków z Polską, żeby kraik ten nie upadł, ale mógł się pomyślnie rozwijać. Rozwój stosunków w tej ziemi musimy naogół pozostawić czasowi. To samo dotyczy Litwy Kowieńskiej, z którą doszlibyśmy stosunkowo łatwo do korzystnego dla stron obu współżycia, gdyby nie wpływy niemieckie, silniejsze o wiele, niż to się nazewnątrz widzi. Wilno jest zakończeniem, Pomorze początkiem planowanego korytarza niemieckiego do Rosji, lecz sąsiedzi nasi muszą zrozumieć, że tranzakcja z naszem państwem w przedmiocie tych ziem, jak zresztą wszystkich innych obszarów Polski, jest niemożliwa. Decyduje tu czynnik woli narodu. Może się zdarzyć w niedojrzałym, lub źle zorganizowanym narodzie, że polityka wewnętrzna pójdzie wbrew jego opinji, lecz naród, któryby pozwolił na przeciwną swej woli politykę zagraniczną, przestałby być narodem.

MAKSYMILJAN HARDEN

W SZWAJCARJI zmarł w 66-tym roku życia głośny niemiecki publicysta polityczny, pisujący pod pseudonimem Maksymiljana Hardena.

Właściwe jego nazwiskobyło Witkowski; z pochodzenia był to żyd polski, wcześnie na Niemca przerobiony. Początkowo próbował karjery aktorskiej, bez większego jednak powodzenia i rychło się przerzucił do politycznego dziennikarstwa, w którem zyskał duży rozgłos, wpływy i majątek, zrobiony na giełdzie. Początek jego karjery przypada jeszcze na czasy Bismarcka i o tem wysunięciu się nikomu nieznanego, małego żydka na arenę wielkiej polityki opowiadają w następujący sposób.

Ambasadorem rosyjskim w Berlinie był podówczas hr. Szuwałow, wielki pan, hulaka, lubujący się nietylko w świetnych ucztach oficjalnych, których wydawał bez liku, lecz również nie stroniący od wesołej zabawy i kieliszka w poufniejszem towarzystwie. Miał on przyjaciółkę, małą aktoreczkę, która ze swej strony była w przyjaźni z Hardenem, bodaj jeszcze z jego aktorskich czasów. Bismarck, pielęgnujący stosunki z Rosją jak oko w głowie, wyzyskiwał oczywiście

wszystkie nici oplatające ambasadę rosyjską i jej szefa-popijałę. Zbliżył tedy do siebie Hardena, żeby za pośrednictwem jego i owej przyjaciółki mieć Szuwałowa na oku i móc mu coś zręcznie zasuggerować, czy też czegoś się dowiedzieć. Sprytny Harden przyczepił się od tego czasu do Bismarcka i na tym stosunku oparł swe plany i powodzenie życiowe. Gdy Bismarck pozostawał u władzy, Harden miał od niego cenne informacje, po dymisji żelaznego kanclerza przylgnął doń jeszcze silniej, stał się jego mężem zaufania i jednym z kanałów, któremi śmiertelnie urażony twórca jedności Niemiec wylewał swą wściekłość, żółć i zawód. Bywał częstym gościem we Friedrichsruh i z dumą kiedyś obwieścił światu, że Bismarck z nim właśnie wypił butelkę słynnego „Steinbergera", którą Wilhelm przysłał mu na przeprosiny.

Ale oczywiście nie tylko spijał tam dobre wina. Od Bismarcka, a później po jego śmierci, od drugiej potęgi ministerstwa spraw zagranicznych, tajnego radcy Holsteina, otrzymywał znakomite wskazówki oraz informacje, które nie tylko dawały pierwszorzędną wagę jego wystąpieniom publicystycznym, ale nie były również bez wartości na giełdzie. Gdy zaś do tego dodać szczegółowe wiadomości o intrygach dworskich, otrzymywane przez siostrę Wilhelma, ks. Schaumburg-Lippe, tę samą, która obecnie mając 63 lata wychodzi za mąż za 23 letniego Rosjanina Zubowa (*nb.* Rosjanin ten idzie śladem najszczytniejszych tradycyj swego roku, protoplastą ich bowiem był jeden z licznych a tęgich sierżantów gwardji, wpadających w oko Katarzynie II); jeżeli więc wszystko to wziąć pod uwagę, to nie wyda się dziwnem, że każdy numer wydawanej od r. 1892 przez Hardena *„Die Zukunft"* wywoływał zaciekawienie w świecie politycznym, a otoczenie Wilhelma, z którym Harden walczył nieugięcie, oczekiwało go z trwogą. Doszło do tego, że kanclerz ks. Hohenlohe urządzał u siebie specjalne wieczory towarzyskie, poświęcone odczytywaniu najnowszego numeru hardenowskiego tygodnika. Oprócz rozgłosu i powodzenia materjalnego przyniosła ta publicystyka Hardena kilka procesów o obrazę majestatu i słynny proces z ks. Eulenburgiem, w którym kamarylla dworska poniosła dotkliwą porażkę.

Podczas wielkiej wojny Harden był imperjalistą i aneksjonistą, nie ustępującym żadnemu z junkrów, po klęsce zawrócił z miejsca i zaczął propagować pogodzenie się z Francją. Ściągnął na siebie przez to gniew organizacyj odwetowych. Wykonano na niego zamach, z którego wyszedł wprawdzie z życiem, ale z rozbitą czaszką i nigdy już do normalnego zdrowia nie wrócił. Obecnie zmarł w Szwajcarji, gdzie mieszkał od czasu zamachu, na zapalenie płuc.

Oprócz tygodnika *„Zukunft"*, który zapisywał przeważnie sam, wydał kilka książek, między innemi interesującą galerję sylwetek wybitnych polityków p. t. *„Köpfe"*. Jako pisarz rozporządzał nietuzinkowym talentem, aktorskie jego upodobania wyraziły się jednak w zbyt kunsztownej napuszoności stylu, pełnej niedomówień, co zresztą dla rodzaju publicystyki, jaką uprawiał, było bardzo odpowiednie. CZK.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

— Odroczenie Sejmu — Właściwy powód — Ruch na lewicy — Hasło Młodych.

ZWYCZAJNA sesja sejmu, zwołana w myśl przepisu Konstytucji, celem rozpatrzenia budżetu, natychmiast po rozpoczęciu pierwszego posiedzenia odroczona została do dnia 28 listopada, t. j. dnia, w którym z samego prawa, wskutek upływu pięcioletniej kadencji, kończy się działalność obecnych Izb prawodawczych. Motywów odroczenia nie ogłoszono. Jako przykład poziomu życia politycznego warto przytoczyć, że popierająca rząd prasa brukowa („Express poranny" i „Kurjer czerwony") w dalszym ciągu usiłuje judzić ulicę przeciwko „darmozjadom" sejmowym, którzy biorą djety, a nie pracują. Tylko dzisiaj metody te zaczynają już być mniej skuteczne, niż dawnej...

Odroczenie sesji sejmowej nadarzyło publicystom z różnych stronnictw nową sposobność do zasadniczych dyskusyj na temat stanowiska rządu marsz. Piłsudskiego wobec zagadnień ustrojowych. Rozważania takie są w wysokim stopniu doktrynerskie, pozbawione zmysłu rzeczywistości. Jeżeli twórczość rządu w dziedzinie reformy ustroju w ciągu piętnastu miesięcy przejawiła się jedynie w postaci... dwuch dekretów prasowych, to wydaje się rzeczą całkiem naturalną, że dokonywane ostatnio zamykania i odraczania sesyj sejmowych przeprowadzane były w tym celu, aby uniemożliwić ostateczne przegłosowanie ustawy, zmuszającej rząd do ogłoszenia w „Dzienniku Ustaw" uchwały Sejmu, znoszącej „Dekret prasowy". „Nie trzeba szukać daleko, kiedy było jakoś blisko" — jak słusznie zauważa poeta.

Koniec prac obecnych Izb prawodawczych i zbliżające się wybory wywołały pośród stronnictw sejmowych widoczne ożywienie: dzienniki przepełnione są wiadomościami i pogłoskami o „blokach" „secesjach", „platformach", „fuzjach". Ze sfer zbliżonych do rządu pada hasło wytworzenia wspólnego frontu lewicy, który objąłby zarówno stronnictwa, popierające rząd bez zastrzeżeń (Partja Pracy, grupa p. Bryla), jak i te wszystkie ugrupowania lewicowe, które ostatnio zachowywały wobec rządu stanowisko bardzo zresztą umiarkowanej opozycji (P. P. S. „Wyzwolenie"). Z klubu P. S. L. „Piasta" wystąpił senator Jakób Bojko, ogłaszając manifest, w którym części swych kolegów partyjnych zarzuca, że „myśleli o koncesjach, o sowitych korzyściach i t. p. żerując na państwie". Nie jest ustalone, czy wychwalany przez prasę sanacyjną „nestor ruchu ludowego" o faktach, o których pisze, poinformował się dopiero w dniach ostatnich, czy też poprzednio tego rodzaju pogląd na kolegów nie przeszkadzał mu wspólnie z nimi należeć do stronnictwa, a nawet być jego honorowym prezesem. W każdym razie słuszną się wydaje uchwała klubu „Piasta", wzywająca senatora-sanatora, aby „do dni czternastu podał nazwiska i fakty na uzasadnienie swego oskarżenia".

Gdy w obozie lewicowym przygotowania przedwyborcze coraz bardziej nabierają charakteru gorączkowego, Zjazd Młodych, jaki dn. 30 z. m. odbył się w Warszawie, rzucił hasło „organizacji wszystkich sił w jednem stronnictwie narodowem". „Nie rozumiemy i nigdy nie zrozumiemy powodów, nakazujących rozbijanie obozu narodowego na szereg stronnictw" — oświadczył w programowem przemówieniu na Zjeździe p. Tadeusz Bielecki: „Nie przekona nas frazes: osobno maszerować, razem uderzać, gdyż dotychczas nietyle maszerowało się razem, ile razem... brało się w skórę!" Istotnie, w trudnej dla obozu narodowego chwili dzisiejszej, jedynie całkowite zjednoczenie jego sił zapewnić może zwycięstwo jego ideałom. Nie czas na spory o drobiazgi, kiedy walka toczyć się będzie o zagadnienia zasadnicze.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

HOŁD ZASŁUDZE LITERACKIEJ DMOWSKIEGO

STOLICA Wielkopolski uwieńczyła zasługę literacką tego, którego zasług politycznych sama jest najpiękniejszym symbolem. Pierwszą nagrodę literacką im. Jana Kasprowicza przyznał Poznań Romanowi Dmowskiemu.

Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby prastary gród odwdzięczył się tylko w ten sposób twórcy polskiej myśli politycznej i wodzowi polskiego czynu politycznego za swój „powrót na ojczyzny łono". W krajach cywilizowanych nieraz wdzięczność dla wodzów narodu wyraża się w podobnej formie. Francja powołała Joffre'a na członka swojej Akademji. I decyzję Poznania możnaby wziąć za gest, formalnie tylko mający na celu uczczenie Dmowskiego — pisarza, w rzeczywistości zaś będący wyrazem tych uczuć, jakiemi dzielnice zachodnie Polski związały się nazawsze ze swym wybawcą, dodaniem jednego więcej listka wawrzynu do wieńca jego chwały.

I w rzeczy samej, gdy decyzja Poznania stała się wiadoma społeczeństwu, wszyscy spojrzeli ponownie na wieniec tej chwały, i ci, których urażał ten widok, znów zaczęli bryzgać nań błotem, ci zaś, których sercom droga jest Wielka Polska, i którzy wiedzieli, że ta chwała nie przepadnie w historji, niemniej przeto ucieszyli się wielce, że oto zasługa obchodzi swoje niespodziewane święto.

Lecz paradoks sytuacji tkwi mianowicie w tem, że nawet ci, którzy najdokładniej zdają sobie sprawę z dziejowego znaczenia prac politycznych laureata, przeważnie nie orjentują się, że Komitet poznański przydzielił nagrodę temu, komu przypaść ona powinna ze względów najściślej rzeczowych. Nie uświadamiają sobie należycie, że w Dmowskim Polska posiada nietylko znakomitego myśliciela, nietylko męża czynu na miarę historyczną, lecz także artystę wysokiej miary, jednego z najznakomitszych swoich prozaików w dobie dzisiejszej, stylistę zaspokajającego wymagania najwybredniejszego smaku, a tak szlachetnego w prostocie, tak dalekiego od pozy literackiej, że mniej wprawne oczy spostrzegają w pismach jego nie styl, jeno samą myśl, sam sens, samą logikę. Ogół czytywał Dmowskiego, nie zadając sobie pytania, jak doskonale czysty musi być ten ośrodek polszczyzny, przez który myśli autora przebijają z taką zadziwiającą wyrazistością, jak wyborna sztuka, która zawsze używa *minimum* środków do osiągnięcia jaknajwiększego efektu, jak niezawodna intuicja artystyczna, która nazywa rzeczy tak szczęśliwie, że czytelnik za każdym razem odczuwa, iż znalezione zostało słowo najdzielniejsze, jedyne. Ale miłośnicy polszczyzny, miłośnicy dobrej sztuki, odznaczenie pism Dmowskiego powitać muszą odrazu z ogromną radością, jako decyzję merytorycznie najsłuszniejszą. Przyjmą ją z uznaniem tem żywszem, że *virtus* pisarska Dmowskiego taksamo *negata tentat iter via,* jak *virtus* polityczna tego męża stanu i reprezentuje wartości, wprawdzie najwyższego rzędu, lecz nie te, którym najgłośniej przyklaskuje barbarzyństwo współczesne.

W notatce tej złączyć się tylko chcieliśmy z tymi, którzy z okazji nagrody ślą dziś Romanowi Dmowskiemu życzenia i powinszowania. Jaką chlubą współczesnego piśmiennictwa polskiego są dzieła odznaczonego autora, to postaramy się nieco lepiej zobrazować w najbliższej przyszłości.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W ostatnim zeszycie „Ruchu Literackiego" święci triumf metoda socjologiczna, stosowana przez niezwykle pracowitego i uzdolnionego badacza Bohdana Suchodolskiego. Na paru stroniczkach dał w skrócie ciekawe studjum p. t. „Ideologja emigracyjna a ideologja szlachecka", w którem wyjaśnił podstawy socjologiczne mesjanizmu. Paralela między strukturą społeczną szlachty polskiej XVII w. a strukturą emigracji naszej XIX jest uderzająca. Wskazówki tej nie będzie mógł pominąć żaden historyk literatury, zajmujący się mesjanizmem.

Niesłychanie interesującą wiadomość podaje w tym zeszycie prof. Pigoń o „drugiej części Pana Tadeusza". Z dowodów i poszlak wynika, że Mickiewicz pisał część drugą, której bohaterem był syn Pana Tadeusza, a miała to być epopea 1831 roku. Pigoń bliski jest przypuszczenia, że rękopis był już na ukończeniu, kiedy poeta, zniechęcony do poezji, spalił go w kominku. Pomagał mu w tem zniszczeniu, jak ze wspomnień można wnosić, syn Władysław. Już nic więcej historja o tej drugiej części nam nie powie. Ale jest się nad czem zastanowić, że ta druga część z czasów nieprzeżytych przez poetę osobiście, nie miała dla niego wartości, nie mógł uznać w niej cząstki swej osobistości. On ją już zostawił w kraju lat dziecinnych. I tu kwestja: czy Miczkiewicz dlatego przestał pisać, że przeniósł się w system życia religijnego, czy odwrotnie to nowe życie stało się jedynem jego ujściem dla tego, że przestał tworzyć. A wtedy kwestja, dlaczego po Panu Tadeuszu nie mógł już tworzyć.

Bardzo ciekawe jest opracowanie przez p. Klejna motywu poetyckiego o orle patrzącym w słońce. Możnaby jeszcze dodać do tego wywodu, że motyw ten u źródła mitologiczny, narzuca się psychologji poetyckiej czcicieli słońca samoistnie. Mus wewnętrzny wzbijania się ku słońcu uwarunkowany jest karą za spojrzenie mu oko w oko. Przypomina się rozpacz Kasprowicza w hymnie „Święty Boże", „Biję skrzydłami, jak ptak ten ranny, jak ptak ten nocny, któremu okiem kazano skrwawionem patrzeć w blask słońca".

Po szeregu sprawozdań krytycznych następuje dział bibliografji bieżącej, a do niej dodana aktualnie bibl. Rapperswilska z powodu przeniesienia zbiorów do kraju.

„Ruch literacki" powinien trzymać każdy, zajmujący się literaturą. Jak się bez niego obchodzą poloniści, trudno bez zgorszenia odpowiedzieć, bo podobno nie wszyscy go mają. Prenumerata za 5 zeszytów z przesyłką 8 zł. Wydają Gebethner i Wolff.

*

Szczepan Jeleński, znany pod pseudonimem Katerwy dramatopisarz, wydał dwie opowieści ewangieliczne, Mała Mirjam i Woda żywa. W literaturze naszej motywy religijne mają dawną, bo z wieków średnich, tradycję. Psałterz Kochanowskiego, Ody księdza Sarbiewskiego i liryki Słowackiego i Krasińskiego na tematy ewangieliczne są jednemi z najpiękniejszych pomników wszechświatowej poezji. Opowieści, a raczej opowiastki Jeleńskiego, pisane dla młodzieży, są miniatorowemi dziełami sztuki. Dają suggestywne wrażenie czarującego uroku i artystycznego wdzięku. Prześliczne jest tło krajobrazu Ziemi Świętej, namalowane gorącemi, soczystemi barwami, a prostota stylu godnie uwydatnia wzniosłość przedmiotu. Książki wydano nakładem księgarni imienia św. Wojciecha, ozdobnie, z miłemi ilustracjami Z Stanisławskiej.

*

Bespośrednio po „Portretach literackich", z uznaniem przez krytykę przyjętych, Zdzisław Dębicki ogłosił nową książkę bardzo interesującą p t. „Rozmowy o literaturze" (Gebetner i Wolff, str. 243). Składa się na nią trzydzieści szkiców, poświęconych położeniu obecnemu literatury polskiej i niektórym zagadnieniom artystycznym. Autor zajmuje się przedewszystkiem literaturą jako zawodem, stwierdzając, że literaci pracują w złych warunkach materjalnych oraz duchowych i że nie są zorganizowani. Motywy te zbiegają się w postulacie Akademji literackiej, której poświęca jeden z końcowych rozdziałów. Jak wiadomo, Dębicki należy do orędowników tej instytucji u dzisiejszego rządu. Duch czasu, panujący w środowisku warszawskiem, przenosi wogóle punkt ciężkości zagadnień literatury na teren zawodu i chętnie usprawiedliwia upadek twórczości i kultury złemi warunkami. Jest w tem wiele nieporozumienia. Wyspiański, jak słychać tak mało jadał z powodu nędzy, że był jak szkielet (czasy „Wesela"), Mickiewicz tworzył w warunkach bardzo niedogodnych, a nielepiej było za czasów Naruszewicz (por. satyrę „Chudy literat"). Żadnego związku twórczości ducha z tłem materjalnem nie udało się nikomu ustalić i nie uda, a pofolgowanie wyobraźni w tym kierunku doprowadzić tylko może do tych smutnych scen, jakich świadkami teraz jesteśmy, wczytując się w argumenty przez literatów przytaczane na rzecz potrzeby Akademji. Są to motywy czysto finansowej natury, żadnego nie

spotykamy, któryby świadczył, że literaci mają coś do zrobienia w tej instytucji.

Nie mniej znajdujemy w książce Dębickiego wiele trafnych spostrzeżeń i dobrych rad. Wrażliwe serce człowieka, zajmującego kierownicze stanowisko w zrzeszeniu pisarzy i z natury swego stanowiska w prasie bardzo w sądach umiarkowanego, zmaga się z umysłem krytycznym i przenikliwym pisarza wytwornego i szlachetnego w dążeniach, który widzi dobrze przyczyny upadku literatury. Nie tai tego w książce, stwierdzając, że wielu pisarzy z dużemi pretensjami nie ma nic do powiedzenia właściwie, a zwłaszcza niedomaga moralnie na brak umiłowania czegokolwiek i na brak poczucia, że wartość pisarza twórczego leży w ścisłem zespoleniu z duchem narodu.

Na tem stanowisku Dębicki staje blisko Maurycego Mochnackiego, który przed stu laty, pisząc tak samo o literaturze polskiej, jej położeniu i zadaniach, głosił w sposób programowy, że literatura jest organem myślenia narodu, który przez nią dochodzi do samowiedzy dziejowej. Mochnacki jednak już wtedy dobrze rozumiał, że ta funkcja nie może się ograniczać „literaturą piękną", jak to dzisiaj propagują zwolennicy Akademji, lecz że do zakresu literatury, tę myśl tworzącej, należy literatura polityczna, historytyczna, filozoficzna, artystyczna.

Świat literacki ogół, interesujący się literaturą, winni wdzięczność Dębickiemu za zebranie w całość poglądów na literaturę i trosk o nią w szkicach, skreślonych z talentem i miłością, której tyle żywi dla kultury polskiej.

*

Wyszedł z druku 4-ty zeszyt „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego". Na treść zeszytu składają się artykuły: „Państwo faszystowskie" przez prof. Peretiatkowicza: „Środki prawne od uchwały Śląskiej Rady Wojewódzkiej" przez D-ra Potykę; „Liczba Niemców w Polsce Zachodniej" przez prof. Nadobnika; „Praca ekonomicznego doradcy rządców" przez E. W. Kemmerera; Przegląd Piśmiennictwa: 61 recenzyj i sprawozdań krytycznych z zakresu prawa, ekonomji i socjologji oraz bogata bibliografja odnośnej literatury polskiej i obcej; Kronika ustawodawcza; Sądownictwo: Przegląd Orzecznictwa karnego i cywilnego Sądu Najwyższego, Najw. Trybunału Administracyjnego; Kronika Ekonomiczna: Stosunki walutowe, spółdzielczość, ubezpieczenia społeczne. Prenumerata roczna 20 zł. we wszystkich księgarniach, (Poznań—Uniwersytet).

U SŁOWIAN

Wrześniowy numer nader interesującego miesięcznika słowackiego „*Prúdy*" (Bratislava, r. XI, № 7). przynosi: Zmęczenie demokracją (F. Kaláč)—Dr. Vaow Srobár-reformator (St. Jansák)—Głosy ziemi (B. Lukác, na marginesie młodej czeskiej literatury)—Polscy mężowie stanu (V. Dresler) — i i., przegląd polityczny, gospodarczy i kulturalny. Artykuł znanego i szczerego polonofila Wacława Dreslera o polskich politykach daje sylwetki Marjana Seydy, St. Kozickiego, W. Trąmpczyńskiego i B. Koskowskiego, kreśląc ich publiczną działalność w nader dodatnich rysach; zapowiedziane są dalsze sylwetki. Zwłaszcza podnosi Dresler śmiałość, z jaką od początku St. Kozicki występował w obronie idei zbliżenia polsko-czechosłowackiego.

Nadto godna jest uwagi sylwetka jednego z najwybitniejszych współcz. polityków słowackich, sen. Srobára, bojownika jedności Czechów i Słowaków, nakreślona przez inż. St. Jansáka.

*

Ostatni (7) numer znakomitego miesięcznika praskiego „*Slovanskij Prehled*" za miesiąc wrzesień przynosi szereg polonik. Mamy więc na początku piękny wiersz „Powrót szczątków J. Słowackiego do ojczyzny" przez. J. Rokytę, pod którym to pseudonimem ukrywa się redaktor pisma Adolf Czerny. Następnie dwa godne uwagi artykuły: dokończenie art. B. Wydry: „Literackie i naukowe związki polsko-czeskie w historji Szkoły Głównej w Warszawie", J. Kudeli „Wojsko czechosłowackie i polskie w Rosji". Nadto mamy obszerny przegląd polityczne] sytuacji Polski przez urzędnika min. spr. zagr. E. Parmę i artykuł B. Vydry „Z polskich teatrów" (o teatrach warszawskich). Podniosły wiersz Rokyty snuje się na kanwie „Króla-Ducha", można go zaliczyć do najpiękniejszych płodów polonofilstwa czeskiego.

*

Artykuł Kudeli o stosunku wzajemnym czechosł. i polskich formacyj wojskowych w Rosji jest reakcją na wydaną niedawno powieść Sieroszewskiego „Dalaj-Lama", w której kwestja ta jest dosyć szeroko omówiona, ze stwierdzeniem, iż największym wrogiem Polaków jest... Czech". Kudela omawia rozwój obu wojsk szczegółowo, z polskich publikacyj cytuje powieści Jerzego Bandrowskiego i studjum Bagińskiego („Wojsko polskie na wschodzie" 1914 — 1920. W-wa 1921). Dochodzi do konkluzji, że oba wojska żyły w zgodzie, że Czechosłowacy usilnie wspierali materjalnie formacje polskie, że nieporozumienia wynikały częścią z psychiki byłych oficerów rosyjskich Polaków, lekceważących Czechów, częścią z nieudolnego dowództwa naczelnego generała francuskiego Janin'a.

*

Krótko wspominaliśmy o godnym uznania fakcie zacieśnienia się związków polsko-łużyckich i na obcym terenie. Oto paryskie towarzystwo *Les Amis de la Pologne* wydało ostatnio interesującą broszurkę znanej francuskiej przyjaciółki Serbów Łużyckich p. de Vaux Phalipau p. t. „*Une Venise verdoyante (La Błota Lusacienne)*". Broszurka ta zajmująco opowiada o mało znanej krainie Dolnej Łużycy, sławnych „Błotach", o jej dziejach, mieszkańcach i ich zwyczajach, przyczyni się też niewątpliwie do zainteresowania Francuzów Łużycą.

*

Serbowie Łużycy Górnej i Dolnej posiadają wspólny miesięcznik literacko-artystyczny p. t. „*Łužica*", wychodzący już rok 42-i, pod redakcją prof. O. Wicaza. Redaktor pisma zamieszcza w każdym numerze interesujące artykuły z działu historji literatury m. i. godny jest uwagi artykuł o stosunku wielkiego czechosłowackiego poety Jana Kollárza do Łużycy (w num. 5). Poezja łużycka rozwija się okazale, „*Łužica*" przynosi piękne jej utwory, główne liriki: P. Krjecmarja, M. Witkojc, J. Lajnerta i F. Rochy, są wreszcie i przekłady. Brak zupełny jednak w tem sympatycznem piśmie wiadomości o Polsce i związków wogóle z kulturą polską. Nasze instytucje wydawnicze i redakcje czasopism powinny przysyłać przynajmniej egzemplarze recenzyjne redakcji „Łužicy" (Budziszyn — Bautzen i. Sa. Lauengraben 4, Serbski Dom), aby choć w ten sposób pośrednio wzbogacić młodą kulturę pobratymczą przed otwarcie przez nią szerokich horyzontów myśli polskiej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*Quarantième Etage*" („*Nouvelle Revue Française*"), którego autorem jest utalentowany pisarz p. Luc Durtain przenosi nas oczywiście do amerykańskich drapaczy. Na książkę tę składają się trzy nowele: *Crime à San-Francisco*, *La Cité qui batit la vision* i *Smith building*. Autor, który dobrze zna psychologję mieszkańców Nowego Świata odmalowuje w sposób barwny tamtejsze stosunki oraz charakter Amerykanów, ich pociąg do alkoholów, a wreszcie fałszywą wstydliwość tłumu, który jest tak bezwzględny i niebezpieczny, że może najporządniejszego człowieka za niewłaściwy gest nietylko obić, ale poprostu wyjąć poza nawias społeczeństwa. Autor kreśli również obrazy życia, wykazujące jak potęga dolara zabiła w Amerykanach idealizm. Sentymentalizm byłych Europejczyków u nich istnieje, ale w stanie nieświadomym. Książka to interesująca, napisana w stylu trochę zbliżonym do Moranda, bo Durtain podobnie jak autor „*Bouddha vivant*" zamierza dokonać literackiego podboju świata.

*

Suzanne Normand, która jest autorem „*Tu aimeras dans la douleur*" publikuje nową książkę pt. „*Cinq femmes sur une galère*" (*Crès et Cie édit*). Jest to historja życia pięciu młodych kobiet, pełnych energji, entuzjazmu do pracy i zazdrosnych o drogo zdobytą niezależność. Powieść ta jest doskonałym obrazem warunków powojennych, gdy kobieta sama musi walczyć o swój byt. Zrazu pewna jest siebie i posiada dużo iluzyj oraz zdaje jej się, że sama sobie wystarczy. Z biegiem czasu jednakowoż twarda rzeczywistość daje się zbyt ciężko we znaki. To też autorka włoży jednej ze swoich bohaterek w usta tę mądrą konkluzję, która jest poniekąd nawoływaniem do powrotu do dawnych tradycyj: Kobieta, mówi ona, znajdzie bezpieczeństwo jedynie w małżeństwie, gdyż ta stara, jakkolwiek zdyskredytowana „niedoskonała" instytucja jest jednakowoż najpewniejszą dla niej ostoją.

TEATR

KOMEDJA ATTYCKA NOWACZYŃSKIEGO

PRZYŚNIŁA nam się Grecja z przed 2.300 lat, śniliśmy Ateny z wyuzdanym w demagogji Kleonem, i tragicznym w swej pozornej wesołości Arystofanesem, widzianym od nas poprzez Cheroneę. Wszystko to kojarzyło się w obrazach z doświadczeniami dnia bieżącego, wyobrażenia literackie o Grecji czepiały się figur i stosunków blizkich, a cały ten koszmar był komiczny i roztapiał się w rozigraniach bachicznych i melodjach znanych piosnek kabaretowych.

Teatr Polski wystawił komedję Adolfa Nowaczyńskiego „Wojna wojnie“, wydaną jednocześnie w książce (u Hoesicka) i zasługującą na przeczytanie choćby dla porównania z widowiskiem w teatrze.

Nowaczyński, naborykawszy się z polską rzeczywistością publicystycznie, nie mógł oprzeć się pokusie sprowadzenia tu na miejsce Arystofanesa, aby w nim, jak w lustrze, Warszawa się przejrzała. Wziąwszy z „Rycerzy“ Demosa, Kleona, Kiełbaśnika, połączył akcję tej komedji z „Lisistratą“ (rewolucja kobieca) w jedną całość i w ten sposób rzecz przystosowaną do naszych źrenic podsunął Warszawie.

W samym tym pomyśle była szatańska złośliwość. Myśl o możliwości takiego zestawienia zdenerwowała prasę demagogiczną i — cenzurę. Parabaza komedji po wydrukowaniu w Nr. 12 „Myśli Narodowej“ z r. b. uległa konfiskacie; dopiero po zorjentowaniu się w odległościach historycznych pozwolono ją wygłosić ze sceny. Dzienniki nowo-ateńskie odgadując w Kleonie prototyp swoich publicystów, postanowiły mocą bojkotu zamodować wskrzeszonego Arystofanesa. Arystofanes i to przetrwa; o niego nie mamy kłopotu.

Chodzi o Nowaczyńskiego. Zajął trudną pozycję między teatrem attyckim a warszawskim. Z jednej strony— teksty greckich komedyj, w których kongenjalnie swój nerw odszukał, ale z drugiej — współpracownictwo reżysera (Schillera), który sztukę wziął w obroty, dorabiając ją do smaku warszawskiego.

Indywidalność Nowaczyńskiego jest powszechnie znana. Publicysta, wskazujący drogę, walczy w nim o lepsze z satyrykiem, obydwaj zaś z artystą, mającym słabość do wszystkiego, co mu daje sposobność eksplodowania śmiechem i rakietami słowa. Jego słowo w śmiechu zrodzone pęka w powietrzu na cząstki barwne, tworzy nowe związki zapełnie niespodziane, ale takie, które zawsze parzą, nie tylko olśniewają. I nigdy nie wiadomo, czy Nowaczyński chce podpalić dom przeciwnika, czy też zabawić się widokiem oszołomienia. Jest w tem artystą, kochającym swoją sztukę.

Arystofanes miał więcej zapamiętałości publicystycznej w sztuce, niż Nowaczyński w polityce. I ten pomysł sprowadzenia do Warszawy Arystofanesa, jak się pokazało na scenie, miał politykę tylko między pobudkami, jako jeden z motywów aktualności.

Więcej tam rozkochania w samym Arystofanesie, niż celu jakiejkolwiek propagandy, bo ten cel, na który się zanosiło w jednej części (z „Rycerzy“), zagubił się w drugiej, mianowicie w walce z kobietami.

Ten motyw niewieści bodaj jest aktualniejszy w Warszawie i tak samo, jak tutaj w sztuce, przysłania w życiu wszelką realną rzeczywistość bardziej dramatyczną. Defetyzm warszawski wobec rzeczywistości tłumaczy się właśnie wyładowaniem energji w słodką wojnę pokojową z kobietami, krótko mówiąc — nowo-ateńskiem zniewieścieniem mężczyzn. Czemże wyjaśnić niemęską, uczuciową psychikę dzisiejszych rycerzy wszelkiego autoramentu, jak nie pierwiastkiem „erosu“, obcego, nawet wrogiego męskiemu „ethosowi“?

Zejście z „ethosu“ Arystofanesowego na „eros“ było dużym krokiem w zbliżeniu Aten do współczesnej Warszawy. I tutaj należy zrobić uwagę nawiasową.

Arystofanes bawił, aby naprawiać obyczaje i ustrój życia. Schłostał kobiety, które w czasie wojen się niecierpliwiły i szczepiły w serca rycerskie słabość. To była akcja etyczna i tę miał na względzie Nowaczyński. Ale z braku perspektywy historycznej wyniknął błąd. Autor usiłował zachować w barwie naturalizm dawnego między płciami obyczaju. W komedji attyckiej tego czasu dzisiejsze wstydliwości wstydami nie były. Mówiono o rzeczach płciowych tak, jak dzisiaj jeszcze lud prosty potrafi w polu je traktować: po imieniu, z prosta. Ile że podobno „komedje“ grywano wtedy tylko dla mężczyzn, więc bez skrępowania. Obyczaje nie należą do rzeczy wiecznych, jak idee lub typy stosunków psychicznych. Przy nowej stylizacji powinny być tylko markowane. Wzięte żywcem, wyrywają się tak mocno na plan pierwszy, godząc w wrażliwość cywilizowanego człowieka, że wszystko inne w sztuce wydaje się istnieć po to, aby pewne sprośne rzeczy mogły być powiedziane. To stawia sztukę w dwuznacznej pozycji. Dlaczegóż bowiem możliwe jest takie akcentowanie rzeczy tutaj uchodzących za wyuzdane? Tylko z powodu chwilowego upadku obyczajów naszych, sprowadzonych już bodaj na poziom afrykański. Ale sztuka prawdziwa nie powinna z takich wyłomów korzystać.

I tutaj przychodzi kwestja współpracownictwa reżyserji. Narzucił jej się do wyzyskania właśnie ten moment rui, więc tutaj skierowała całą pomysłowość. Zabawa z obnażonemi kobietami stała się punktem wyjścia jej natchnień. To oczywiście stłumiło literackie efekty komedji, która wpadała w każdym obrazie w rytm popularnej współczesnej operetki, a taniec przenosił naszą wyobraźnię do jakiegoś *Moulin Rogue*.

I to był trzeci stopień, po którym schodził Arystofanes do Warszawy. Tutaj dopiero stał się dla ryżyserji artystyczny.

O ile to leżało w intencjach autora, trudno powiedzieć, bo w scenarjuszu książkowego wydania o balecie i muzyce niema mowy. Berło sztuki wyrywały artystom co chwila rozebrane tancerki, które w tym stanie jeszcze dziesięć lat temu nie mogłyby się pokazać w Warszawie.

I tu współpracownictwo teatru skrzywdziło Nowaczyńskiego, rezultatem bowiem ogólnym takiej oprawy scenicznej było zatarcie satyry: obrócenie wszystkiego w żart, abdykacja słowa na rzecz uciechy gminu, z którego się szydziło. Warszawka przezwyciężyła Arystofanesa. Dla niej nawet Offenbach jest już za poważny, przyszłość komedji nowa sztuka sceniczna widzi na czas najbliższy w balecie gimnastycznym — oczywiście bez trykotów. Charyty, które w duszy Arystofanesa znalazły swój przybytek, nie poszłyby w tan za nowożytnym reżyserem.

Aktorzy też nie szli. Odbierało im to widocznie humor, że laury zbiera kto inny. A znakomitych komedja miała wykonawców.

Z. W.

OKNO

„REDUTA“ w Wilnie otworzyła nowy sezon debiutem młodego lwowianina, p. Andrzeja Rybickiego, którego sztuka p. t. „Okno“, jest niepowszednim zjawiskiem artystycznem, pozwalającem po autorze bardzo dużo się spodziewać.

Przy pomocy nader prostych efektów, na tle życia paru (ściśle: czterech) osób w małem prowincjonalnem mieście, daje nam autor, szczery poeta i prawdziwy myśliciel, głęboko zarysowaną tragedję ludzi, więzionych w labiryncie życia leniwego (jak powiada sam p. Rybicki w subtelnym komentarzu do swej sztuki), „życie lękliwego, cofającego się przed chwilowym smutkiem, życia niedźwignionego wzwyż, a zostawionego samemu sobie“. Życie to nazywa autor „przedsionkiem prawdziwego XX wieku“, a sztukę własną radby uczynić takiem „oknem“ na rozległy świat nowy. W momencie kulminacyjnym, gdy to życie „staje się aż przezroczyste od bólu“, bohaterka tragedji, p. Lucja Orwitowa, drogą ofiary przekonywa się, że najpowszedniejsze życie ma treść najgłębszą i woła, że „na świecie jest tylko radość“. Oto bowiem nad biednem, umęczonem sercem niewieściem, spragnionem miłości macierzyńskiej, ulitował się Bóg,

i zapukał w szybę tego okna. „Stało się to, o co właściwie chodzi wszystkim ludziom, którzy czekają na istotne rozpoczęcie w. XX-go — to jest na przyjście ducha, który musi tym wiekiem rządzić".

Sztuka p. Rybickiego, poza paru niedociągnięciami zbudowana jest mocno scenicznie i ideowo, daje też pole do popisu dla aktorów. Charakter jej, który możnaby nazwać symbolistycznym realizmem, jest wyraźnym krokiem naprzód w rozwoju naszego dramatu. Oczywiście rzecz nie wolna od pewnych wpływów, więc Wyspiańskiego i Szaniawskiego (pierwotny tytuł sztuki: „Scota arlekina"), ideologja zaś „okna", chrześcijańska i nawskroś nowoczesna, przypomina wyraźnie Norwida. Pomimo to (czy też właśnie dlatego!) sztuka jest nawskroś orginalna i p. Rybickiemu można tylko życzyć, by na drodze, którą iść zaczyna, zdobył sobie imię i stanowisko stałe w naszej literaturze.

S. C.

NOWE KSIĄŻKI

Nowaczyński Adolf. Wojna wojnie. Warchoł i Miroluba. Komedja Arystofanesowka. Warszawa 1928. F. Hoesick.

Berezowski Zygmunt. Polityka zagraniczna. Wskazań program. O. W. P. zesz. VI. Warsz. 1927. Str. 30.

Balk Henryk. Z badań nad wyobraźnią artystyczną Stan. Wyspiańskiego. Badania literackie t. III. Lwów 1927. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 290.

Dębicki Zdzisław. Rozmowy o literaturze. Warsz. 1927. Gebethner i Wolff. Str. 244.

Kurek Jalu S. O. S. (Zbaw nasze dusze!) Powieść. Kraków 1927. Zwrotnica.

Studja o Słowackim. Prace komisji do badań nad historją liter. i oświaty. T. II, zesz. 3. Warsz. 1927. K. Wojnar. Str. 109.

Polityka szkolna wobec mniejszości narodowych. Warsz. 1927. Związek Lud. Nar. Str. 39.

Grabowski-Gołkont Jan. Spadające gwiazdy. Powieść. Bibl. Dzieł Wybor.

Charszewski ks. Z bojów o Żeromskiego. IV Na forum sądowem. Włocławek 1927. Str. 32.

Ruch Literacki, październik.

NA MARGINESIE

Organy sanacji, których Masonerja jest organiściną, dobywają teraz z siebie przeraźliwe „głosy prawdy" na temat nagrody, przyznanej w Poznaniu Romanowi Dmowskiemu. Pani Wielopolska (nr. 309 G. P.) nazywa dzieło pisarskie Dmowskiego „makulaturą", a zasługi jego — „bliżej nieznanemi". Dzieł nie czytała, traktatu Wersalskiego do wiadomości nie przyjęła... Rozmarzył ją Brzeski. Należy do obozu małej Polski, ale Małopolska ją śmieszy swoją nazwą, choćby przez zastawienie z jej obecnem nazwiskiem. Pozatem jest kandydatką do Akademji literackiej, którą, jak się od niej dowiadujemy, zakłada płk. Wieniawa Długoszewski. Podobno jednak „kasztanka" szans ma więcej.

*

Stronnictwo Chłopskie (grupa p. p. Dąbskiego i Bryla) jest— jak wiadomo — jedynem, obok Klubu Pracy, ugrupowaniem sejmowem, związanem z rządem obecnym węzłem pełnego zaufania i stale popierającem jego politykę. „W Gazecie Chłopskiej", będącej organem tego stronnictwa, czytamy:

„Wprawdzie niezależność i nienaruszalność sędziów należy teoretycznie (!) do wielkich zdobyczy demokratycznych, ale nie będziemy płakali, gdy się tę zdobycz u nas na kilka lat zawiesi na kołku (!). Ogromna bowiem większość sędziów wszystkich stopni w Polsce, to prawicowcy i chjeniści, którzy się chłopom dobrze dali we znaki. Tym sędziom dobrze zrobi, gdy się ich trochę poprzerzuca, a niektórych zgoła usunie, bo oni się zanadto rozpanoszyli (!) i przeciągnęli strunę wszelkiej cierpliwości. Kto chce być nienaruszalnym, ten musi na to zasłużyć swoją bezstronnością, a nasi sędziowie byli często narzędziami polityki Chjeno-Piasta (!!), bo czuli się nietykalnymi i bezkarnymi".

Gdy się czyta tego rodzaju wystąpienia prasy rządowej, wiadomości o zamierzonej „reorganizacji" sądownictwa mogą przejmować opinję publiczną uzasadnioną obawą...

*

W pięknem słonku majowem zeszłorocznem zaczęły przychodzić do siebie różne krzewiny i liance, które do tej pory nie mogły podrosnąć. I tak S. K. L. ze swoim „Ludem Katolickim" nabrało słodkiej nadziei. Pos. ks. Czuj w jednym z ostatnich numerów tego pisma zapewnia, że „z otuchą patrzymy w przyszłość", że pora dla nich, S. K. L., zgoła wyjątkowa. Nie o partję im idzie, ale o „świętą prawdę", o porządek w kraju i tp. Że tam ktoś inny ma wątpliwości, czy ten „porządek" w zgodzie jest z zasadami obywatelskiej wolności, godności i bezpieczeństwa—o to ich głowa nie boli. I słusznie: oni „mają czuja" i idą tam gdzie „cały naród": Aguda, ks. arcyb. Kowalski z Płocka, Stapiński i panowie, książęta, magnaci ...i inni... Krzepią się na sumieniu wyglądaniem jakichś rzymskich wycieczek, a tymczasem wyobraźnię swych czytelników uszlachetniają obrazkami knuta w ręku jakiegoś *con amore* rysowanego mężczyzny o fizjognomji z czasów sarmatyzmu. Że już ś. p. Mickiewicz, kult knuta i „heroizm niewoli", uważał za zasługę, tylko u psa — to mniejsza: oni z otuchą patrzą w przyszłość. Idealiści bata! To smutniejsze, że jedni z wielu...

*

Znakomity pisarz Karol Hubert Rostworowski, wziąwszy udział w ankiecie „Głosu Narodu", na pytanie, co sądzi o sporcie, odpowiedział:

— Sport?... Nie znam go. Nigdy żadnego sportu nie uprawiałem. Mam jednak wrażenie, że lepiej, gdy ludzie kopią piłkę, niżby siedzieli w knajpach lub kawiarniach... Widzę dziś w sporcie — hypertrofję, szaleństwo. Co ludzie na ten temat nie tylko, że wyprawiają, ale i — wygadają!... Nauka poszła w kąt... Przypominam sobie pewną małą, trochę przesadzoną broszurkę p.t. „Protokuły Mędrców Sjonu" poświęconą imperjalizmowi żydostwa. Jest tam pewien ustęp o sportach: ...Aby ludzi, żydom niewygodnych, odciągnąć od debatowania nad kwestjami politycznemi, niezadługo przy pośrednictwie prasy zaczniemy ogłaszać konkursy w dziedzinie sztuki sportu, wszelkiego rodzaju: sporty te odwrócą ostatecznie umysły od kwestyj, w których zakresie musielibyśmy walczyć z nimi. Odwrócimy ich uwagę przy pomocy uciech, zabaw i namiętności, odzwyczaiwszy ich stopniowo od myślenia samodzielnego, spowodujemy, że ludzie zaczną z nami mówić *unisono*, bowiem my (żydzi) jedynie zaczniemy propagować nowe kierunki myśli za pośrednictwem takich, rzecz prosta, osób, z któremi o solidaryzowanie się nie możemy być pomawiani"... Podaję ten cytat, bo się nim zajął Roger Lambelin w dziele pt. „*Le regne d'Israël chez les Anglo-Saxons*", które ostatnio przeczytałem.

W dzisiejszem bałwochwalstwie sportu widzę epokę igrzysk i gladjatorów, która poprzedziła upadek kultury Rzymian. Obecnie czasy se się może powtarzają.

*

Dziennik „Głosu Prawdy" (nr. 303) na szczególnie widocznem miejscu, na pierwszej stronie zamieszcza radosną wiadomość p. t. „Chleb nałęczowski potaniał o 5 groszy na kilogramie". Tytuł jest dwuszpaltowy. Artykulik poświęcony wyłącznie tej informacji rozrósł się do 37 wierszy druku.

Poniżej w temże piśmie znajdujemy krótką wiadomość, że według obliczeń urzędu statystycznego w październiku koszty utrzymania w Warszawie wzrosły o 1%. Niema powodu kłopotać się takim drobiazgiem. Jedzmy chlebek nałęczowski!

BŁĘDY DRUKU

W artykule „Zubożenie duszy" w nr. 23 na str. 426 szp. 2 w. 17 zamiast „wspólności" powinno być „w ogólności", tamże w. 19 od dołu ma być „aparatem ruchowym" nie „duchowym") str. 427 sz. I w. 19 ma być „aperceptywne" (nie „yczne"), a w. 22 ma być „wyobrażenia"), tamże szp. II w. 5 ma być „moja (nie „może"), a w. 2 od końca tekstu ma być „manjerą" (nie zaś, „niemocą").

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.106.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELINSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM